Nr. 7 i 8. Kraków, lipiec i sierpień 1903 r. Rok IV.



Pismo dla kobiet
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

T. T. JEŻ.

Zdala od rodzinnej ziemi, w krainie wolnej, szczęśliwej Szwajcarów, żyje latami i trudami życia znękany tułacz, a wielki sercem i zasługami dla Ojczyzny złożonemi pisarz i obywatel: Zygmunt Miłkowski, w całej Polsce znany pod imieniem Teodora Tomasza Jeża, bo tak — piękne swe książki podpisywał.

Młodość swą i męskie lata na usługi dobrej, świętej sprawy wolności ofiarował, mężnie za własną i cudzą bił się ziemię, przyczem wiele przebolał, przecierpiał, zniósł niedoli i nieszczęść, aż wreszcie na stare swe lata w gronie dzieci, dziś już dorosłych, cichy żywot na obczyźnie wiedzie.

Cichy, ale nie spokojny i gnuśny! Jak młodzieńcem będąc, orężem wojował, tak potem, w dojrzały wiek wszedłszy, zaczął dzielnie szermierzyć piórem i tej samej pięknej idei wolności służył nadal pracą swą literacką. Więc pisał i pisze do dziś dnia jeszcze pełne zapału powieści, w których i stare dzieje Polski — pełne chwały i szczęścia — i późniejsze jej nieszczęśliwe losy z miłością rzewną maluje. A wszelkie stany naszego społeczeństwa w książkach tych swoich tak dosadnie przedstawia, że czytając je, zdaje się nam, iż osobiście poznaliśmy i zżyliśmy się z tymi ludźmi — że kochamy ich, ich radością się cieszymy, a nad ich boleścią łzy wylewamy! — Jeż ma także i tę zasługę, że on pierwszy niemal do powieści polskiej wprowadził chłopa — jego duszę na wylot przejrzał, i z całą szczerością ją nam odmalował. On pierwszy zrozumiał, że wielka moc i siła ogromna leży w tej masie ludu, który chociaż przez długie wieki był zaniedbywanym — gdy obudzi się, to olbrzymich dokaże rzeczy!

Ale i inne pobratymcze nam, słowiańskie narody umiłował Jeż całem sercem i niedolę ich opisywał. Zwłaszcza piękne są jego powieści z dziejów Serbów i Chorwatów zaczerpnięte i walki tych bohaterskich ludów z Turkami opisujące. Zna bowiem Jeż całą południową Słowiańszczyznę, własnymi ją przemierzył krokami, wszerz i wzdłuż schodziwszy, a nawet za jej wolność bojował.

Więc teraz oto, w 50 rocznicę jego działalności pisarskiej — uczcić go zamierza wdzięczna Ojczyzna urządzeniem mu obchodu

jubileuszowego i złożeniem odpowiedniego daru.

Abyście i wy, kochani Czytelnicy — poznali tego Waszego przyjaciela, podajemy wam dziś ustęp z jednej jego powieści, pod tyt. „Historya o pra-pra-dziadku“, w której miłość wieśniaka do swej rodzinnej wioski przepięknie a wzruszająco przedstawił.

Historya o pra-pra-dziadku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Szerokim gościńcem pięknie zabudowanej wsi ukraińskiej *) jechał szlachcic, a za nim podążał pachołek. Obaj na koniach, odziani byli w futrzane czapki, długie buty juchtowe i futra, z pod których wysuwały się końce pałaszy, coraz pobrzękujących o strzemiona. Przy siodłach przytwierdzone mieli topory i obuchy, bo w owe czasy bez oręża obejść się nie można było.

Działo się to zimą mroźną. Śnieg okrywał wieś całą: chaty, płoty, drzewa — a i podróżni ubieleni byli szronem.

Konie, poczuwszy żłób niedaleko, parskały radośnie, a Lisowski (tak nazywał się ów szlachcic) oglądał się wciąż, szukając czegoś oczyma.

We wsi było cicho, na drogę nikt nie wyjrzał, tylko dym kurzył się z kominów i psy naszczekiwały. Dopiero przy grobli spotkali dziewczynę, dźwigającą nosidło z dwoma skrzypiącemi wiadrami wody.

— Niech Bóg pomaga! — zawołał do niej szlachcic, zatrzymując konia.

— Bóg zapłać!.. — odparła dziewczyna i szła dalej.

— Stój! nie uciekaj! — zawołał na nią. — Należy ci się od nas podzięka za dobre spotkanie, ładna dziewczyno. Bodaj-że ci za to czarne brwi jeszcze lepiej poczerniały!

— E! niech już one zostaną takiemi, jak je Pan Bóg stworzył — odpowiedziała dziewczyna, z ukosa spoglądając na jeźdźców.

— To niech zostaną, jeżeli ci się tak podoba — zaśmiał się Lisowski i spytał; — A powiedz-że mi, jak się też wasza wieś nazywa?

— Toż są Hrynenki... a jakżeby się nazywać miały? — dorzuciła dziewczyna, zdziwiona, że się znalazł człowiek, który nie wiedział, jak się nazywa jej wioska rodzinna.

— To dobrze — zaczął znów Lisowski — ale w waszych Hrynenkach dworu nie widać...

— A bo tu u nas dworu niema — przerwała mu dziewczyna.

— To wskaż mi chatę podstarościego *) — prosił szlachcic.

— A kiedyż i podstarościego nie mamy — odparła z uśmiechem.

Lisowski zadziwił się bardzo tą odpowiedzią, gdyż wiedział dobrze, że wieś każda musiała mieć swego pana lub też powinna była należeć do królewszczyzny, czyli dóbr królewskich; ale i w takiej wsi rządził starosta, albo podstarości. Zkądżeby więc Hrynenki mogły nie mieć swego pana? — pomyślał sobie szlachcic, lecz nie spytał się o to dziewczyny, gdyż teraz pilno mu było dostać się do ciepłej izby, bo i koń pod nim rwał się do obroku i spoczynku — rzekł więc po chwili:

— Pytam się ciebie o dwór, albo podstarościego, bośmy zdrożeni; chciałbym wypocząć i koniom dać wytchnąć...

— Dla podróżnego to i nasza chata otworem — podchwyciła dziewczyna, nie dając szlachcicowi dokończyć. — Jeżeli wielmożnego pana łaska, to proszę za mną.

To wyrzekłszy, odwróciła się i ruszyła naprzód, dźwigając chwiejące się wiadra i skrzypiąc butami po śniegu. Za nią pojechał szlachcic, a za szlachcicem pachołek.

Konie mocno parskały i, żując wędzidła, wyciągały szyję.

— O! będą nam bardzo radzi!... — zawołał pachołek z głupowatym uśmiechem.

Jakoż sprawdziła się jego wróżba. W chacie dziadów Jerynki (owej dziewczyny, spotkanej na drodze) wszystko co żyło, wyruszyło na spotkanie niespodzianego gościa.

— Niech będzie błogosławioną ta godzina, w której Jerynka zabrała się z wiadrami po wodę... — mówił dziad, stary Semen, gdy mu dziewczyna swoje spotkanie ze szlachcicem opowiedziała. — Że też niespodziewanie Pan Bóg tak wielką radość na nasz domek zesłał!

Staruszka babka, ze sterczącą u pasa kądzielą, wypowiedziała też drżącym głosem jakieś uprzejme pozdrowienie.

Ojciec Jerynki podszedł do nieznajomego,

*) Ukrainą nazywają ziemię, położoną od nas na wschodzie nad rzeką Dnieprem.

*) Podstarościm nazywano w owe czasy rządcę lub ekonoma.

chcąc mu w czemś usłużyć i żona jego miała na gościa zwrócone oczy.

Tymczasem szlachcic, przywitawszy gospodarzy, odprowadzony został w kąt, pod obrazy, na miejsce honorowe, czyli poczestne, jak mówią na Rusi. Zrzuciwszy teraz futro, pozostał tylko w łosiowym kaftanie, na którym gęste ślady jakichś kółek świadczyły, że często musiał przywdziewać żelazną koszulkę, broniącą od pocisków w czasie wojny. Z pod kaftana, spiętego szerokim pasem, widniały dwa rzemienie, do których przymocowaną była broń żelazna, ciężka. Bo też ręka, która nią władała, silną była; żyły po niej, wiły się jak powrozy i ruchy jej lekkie, zwinne, mówiły, że człek to był rycerski. A w postaci jego nietylko dopatrzyć się można było niepospolitej siły ciała, ale jeszcze z uśmiechu niełądnej, ospowatej twarzy i z pary siwych oczu biła jakowaś łagodność i taka słodycz, że każdy, spojrzawszy na niego, musiał doń przylgnąć, jak do rodzonego brata.

— Siadajcież, panowie gospodarze. Nie stójcie nademną — odezwał się, pas sobie rozpinając. — Gość ma swoje prawa, gospodarz swoje.

— Wielmożny pan wielką nam radość sprawił — odparł dziad.

— I mnie radość, Panie ojcze. Zziębniętemu dostać się do ciepłej izby, do uprzejmych gospodarzy — to wielka radość — odpowiedział gość.

— A jednak nam większa — przerwał mu dziad Semen. — Bo chociaż się trafi do nas gość, to go zabierze wójt, dobrodziej lub młynarz — teraz, gdyby nie moja wnuczka, nie zawitalibyście pod naszą strzechę.

— A ja wiedziałam, że dziś będą goście, bo sroka na płocie do samego południa siedziała i skrzeczała... — szepnęła dziewczyna do ucha babki, ale tak, że ją szlachcic dosłyszał i rzekł jej na to ze śmiechem:

— Oj! nie mnie sroka zapowiadała, ona dla ciebie skrzeczała...

W tem drzwi skrzypnęły i wszedł do izby młody, przystojny parobek.

— A oto — rzekł gość, pokazując na nowoprzybyłego — jeżeli to nie twój brat, ani krewniak, to tego ci sroka wywróżyła...

Starzy się głośno roześmiali. Jerynka pokraśniała jak kalina. Parobczak się skłonił, obejrzał po izbie i stanął z boku, nieopodal od Jerynki, która na niego z pod oka poglądała.

— Co, czy nie zgadłem?... — zapytał szlachcic.

— Toż-to ono niby i tak... — odparł Semen. — Tylko, gdyby się sroce zechciało go zapowiadać, toby się chyba na śmierć zaskrzeczała...

— Często przychodzi, tem lepiej... — podchwycił Lisowski, a po chwili milczenia spytał nagle: — Czy Hrynenki starościńskie dobra?

— Nie, wielmożny panie, to osada — odpowiedział dziad. — U nas na Ukrainie są takie folwarki i wsie całe, nigdzie nie zapisane do żadnych dóbr pańskich. I dobrze nam z tem, bośmy na swojej ojcowiźnie od dziadów, pradziadów.

— I tak wy w Hrynenkach bez pana sami się rządzicie i prowadzicie?

— Sami, wielmożny panie...

— I siedzicie sobie, jak a Pana Boga za piecem? — pytał szlachcic.

— A jak u Pana Boga za piecem — odpowiedział dziad z uśmiechem.

— To my niby szlachta? — zaprzeczył Semen.

— Hum... — mruknął sobie pod nosem szlachcic i ciągnął dalej powoli — ale wy też nie chłopi i nie szlachta, bo lepiej wam od niej. Szlachcic ponosi ciężary, których wy nie znacie; idzie na wojnę bronić własną piersią kraj swój od wroga, a wy na wojnę nie idziecie, ojczyźnie podatku krwi nie składacie, korzystając ze wszystkich praw szlacheckich...

Podczas, gdy tak mówił Lisowski, parobek, który niedawno był wszedł do izby i mowie szlachcica przysłuchiwał się uważnie, nagle zaczerwienił się cały, oczy mu się zaiskrzyły, a występując na środek izby, rzekł głosem urażonym:

— Alboż to na Zaporoże *) od nas nie idą?... i czyż tam nasi nie giną za dobrą sprawę? Ach! gdybym ja tam mógł się dostać!...

Szlachcic bystry wzrok zwrócił na parobka i zatrzymał go na nim długo. Bo i było na kogo spojrzeć.

Młodzian stał przed nim rosły i smukły; z jasnych jego oczu przeglądał rozum, świeciła odwaga. A podobnym był w tej chwili do ognistego rumaka, który rwie się, chce zerwać wędzidła i pobujać po szerokich ukraińskich równinach, by zażyć stepu, swobody...

Lisowski, nie spuszczając oka z młodego ukraińca, odpowiedział mu spokojnie:

*) Zaporoże — była to osada kozaków, nazywana też Siczą, a położona na samem południu Ukrainy, przy ujściu rzeki Dniepru do morza Czarnego. Kozacy zaporożcy stanowili osobne wojsko, podległe Polsce, ale nie zawsze jej posłuszne. Zaporożcami dowodził hetman, obierany przez kozaków.

— Na Zaporożu teraz złe rzeczy się święcą. Daj Boże, żeby z tych iskier wielki nie wzniecił się pożar... Chce ci się, parobcze, świata zażyć, ale szkoda cię na Zaporoże.

Potem, jakby niechcący, dodał:

— Możebyś ze mną poszedł... A jak ci na imię?

— Kuźma odpowiedział parobek.

— To młynarza syn — objaśnił stary Semen. — Oddawna już zachciewa mu się w świat. Sprzykrzyła się ojcowska strawa. Ale rodzicom trudno go puścić, bo jedynak... Gdy pójdzie, we młynie nie będzie kogo zostawić.

A babka od pieca mruczała:

— Ot, czego jeszcze nie stało!... Mleko ma jeszcze pod nosem, a już zachciewa się na Zaporoże...

— Oj, nie, już nie pójdę na Zaporoże, ale pojadę za tym panem — odparł Kuźma tak stanowczym głosem, że wszyscy ze zdziwienia umilkli.

A wśród ciszy, która zaległa izbę, szlachcic wyrzekł z powagą:

— Namyślę się... rozmówię ze starymi, to może i w świat wyruszymy!

I znowu wszyscy chwil kilka milczeli, aż dziad Semen zagadał o wojnie, co się na Wołoszech *) gotowała. Lisowski rozpowiadał o niej długo, zajadając wieczerzę, a wszyscy mowie jego przysłuchiwali się pilnie. Kuźma tylko słów jego nie rozumiał, bo już w uszach mu dźwięczały wojenne odgłosy i przed oczyma snuły mu się dziwne obrazy, których w izbie nie było i śladu... Aż Jerynka, widząc go takim nieswoim, trwożnie nań spoglądała. Wreszcie za rękaw go pociągnęła i zawołała:

— Kuźma!

— Co tobie, Jerynko? — porwał się parobek, jakby go ze snu zbudziła.

— Mnie nic... — odparła dziewczyna — ale ty taki...

— Jaki?... — zagadnął.

— Ot, albo ja wiem... taki nieswój... coś jakby ci w głowę weszło i przed oczyma się śniło... Co cię oczarowało? — spytała Jerynka.

— Co?... — powtórzył bezmyślnie Kuźma.

— Chyba świat cię ten oczarował, co o nim raby**) szlachcic mówił... — rzekła dziewczyna.

Ale Kuźma nic jej na to nie odpowiedział, tylko po długiem milczeniu Jerynka dosłyszała, jak prawie szeptem powtarzał sobie:

— Ty świecie mój! świecie!...

Wtedy odwróciła się szybko od parobka, bo z oczu jej łzy gradem się polały. Uczuła taki ból w sercu, jak gdyby świat ten nieznany wydzierał jej miłość Kuźmy — tego jej kochanka, sokolika drogiego!

---

*) Wołosze lub Wołoszczyzna — kraj zwany dzisiaj Rumunią, położony nad Dunajem.

**) Raby — po rusińsku ospowaty.

Wieś polska.

Gdy ci się sprzykszyły pałace i dwory,
I miejskie zabawy, uciechy,
Wyjdź na wieś, na pola, gdzie lasy i bory,
Gdzie włościan słomiane są strzechy.

I przypatrz się bliżej tej ludzkiej niemocy,
I zajrzyj do chaty wieśniaka,
Jak on tam pracuje od świtu do nocy,
Tam poznasz w siermiędze rodaka.

Gdy wejdziesz w obejście, a zaskrzypną wrota,
Pies Burek przy budzie zaszczeka,
Powitać serdecznie przyszła mu ochota,
Bo poznał obcego człowieka.

A kiedy się zbliżysz, by zajrzeć do chatki,
Z za węgła wyglądnie dziewuszka,
I modre swe oczy, jak w zbożu bławatki,
Rąbkiem osłoni fartuszka.

A co chce jegomość? zapyta nieśmiało,
Czy może letnikiem być z nami?
Chałupa nie wielka, to i miejsca mało,
Dla obcych tu kąta nie mamy.

Ale hen na górce, kędy brzozy rosną,
Tam domek jest starej Janowy,
Co rok go odświeża, bieli z każdą wiosną,
Tam pokój dla gości gotowy.

A jak ładnie ztamtąd patrzeć na równiny,
Co całe ubrane we zboża,
Na skały wysokie, zielone doliny,
Co kwieciem się płonią jak zorza.

I widać jak kosiarz tnie trawy swą kosą,
Dziewuchy grabiami strząsają,
I pachnie świat cały pokropiony rosą,
Grabiarki wesoło śpiewają.

A tam hen, za łąką płynie wartko rzeka,
Co błyszczy jak wstęga świetlana,

Nad nią młyn w zaroślach, słychać go zdaleka,
Tyrkocze do nocy od rana.

A jak to tam ładnie w tym gaju cienistym,
Kukułki po drzewach kukają,
Słowik wyśpiewuje swym głosem srebrzystym,
Dzięcioły w gałązki pukają.

I bocian na gnieździe wysoko klekocze,
I żabki w moczarach rechtają,
I dziki gołąbek skrzydłami łopocze,
Robaczki jak iskry latają.

A kiedy z wieczora Jaś gra na fujarce,
A nuta tej pieśni podolska,
To we mnie drga serce, jak w trwożnej turkawce,
Oj! śliczneż ta nasza wieś polska!

W. Ciechomska.

Historya ziemi.

III.

Drugą epokę w dziejach tworzącej się skorupy ziemskiej, stanowi tak zw.: O k r e s s t a r o ż y t n y, przypadający na czas przemożnego działania sił wodnych, to jest na czas, gdy opady atmosferyczne w postaci ulewnych deszczów z początku gorących, a później ciepłych, oczyszczały powietrze z gazów różnorodnych i równocześnie rozpuszczały już istniejące skały, osadzając ich okruchy, jako namuł i żwir, na miejscach zapadłych i tym sposobem dały początek pokładom minerałów, tak zw. osadowych czyli warstwowanych.

Do najdawniejszych z takich skał należą: wapienie, piaskowce i łupki iłowe, gliny łupkowe i margle łupkowe, rudy żelazne i marmury; u nas w Polsce jedynie na Podolu nad Dniestrem i w górach Świętokrzyskich występujące. W owej epoce ciepłota całej powierzchni ziemi znacznie się już obniżyła, a powietrze stawało się coraz rzadsze i przejrzystsze, oraz zdolne do przepuszczania przez siebie dobroczynnych, ożywczych promieni światła i ciepła słonecznego. Stały ląd, nagi i bezpłodny, przedstawiał się naówczas jako wielka, równa, posępna, kamienista pustynia, a jedynie tylko na skrajach morskich wybrzeży widniały skąpe ślady życia roślinnego, t. zw. wodorosty w rodzaju naszych skrzypów wodnych, widłaków i trzcin[1]). Za to głębie oceanów roiły się istotami najróżnorodniejszemi, bardzo jednak jeszcze nierozwiniętemi i dlatego nazwanemi „pierwoszczakami". Były to drobniutkie kuleczki, pęcherzyki, komórki — coś, co ani do rodzaju zwierząt, ani do roślin zaliczonem być stanowczo nie może, a co przecież żyło i w następnych wiekach rozwijając się i doskonaląc, zwierzętom i roślinom dało początek. I tak z tych pierwoszczaków utworzyły się najpierw t. zw. zwierzokrzewy, n. p. gąbki, korale; potem robaki, mięczaki i skorupiaki, o bardzo silnych wapiennych pancerzach. Wreszcie wystąpiły olbrzymie i potworne ryby i one to wkrótce opanowały wszelkie wody ziemskie, tępiąc i gubiąc wszystkie mniejsze i słabsze od siebie istoty.[2]) Pod koniec zaś owej epoki występują też i na lądzie stałym pewne gatunki zwierząt, powietrzem oddychających, jak n. p. wielki niedźwiadek i różne skrzydlate owady, których szczątki skamieniałe znaleziono we Francyi, w pokładach piaskowych z tego czasu.

Jakoż po upływie kilkunastu tysięcy lat, gdy na ziemi owe pierwotne przewroty i zaburzenia minęły, powierzchnia jej i wody znacznie ostygły, a powietrze przesycone kwasem węglowym wilgotne było i ciepłe. Wszystko to sprzyjało ogromnie rozwojowi życia roślin. To też suchy ląd przedstawiał się wtedy jak jeden gęsty, niezgłębiony, nieprzebyty, odwieczny las, złożony z drzew skrzypowych (bez liści i kwiatów), dalej z widlaków brzydkich, łysych, bez konarów i gałęzi, o pniu na 100 stóp wysokim, wreszcie z również wielkich, lecz rozgałęzionych łukowców i prześlicznych liściastych, olbrzymich paproci itp. Wszystkie te rośliny, których liczne odciski i skamieniałości znajdujemy w pokładach węgla kamiennego, krzewiły się bujnie na gruncie wilgotnym, a po obumarciu i obaleniu się, utworzyły przez ciąg długich tysięcy lat torfowiska, które porosłszy następnie mchami, stanowiły grunt dla nowych lasów potężnych. Gdy

---

[1]) Z biegiem czasu coraz to więcej przybywało gatunków roślin, więc rozrastały się olbrzymie porosty i paprocie, bujne łąki i gęste lasy z drzew słupiastych (tj. bez liści, kwiatów i owoców) złożone.

[2]) Ryby te wcale nie były podobne do obecnie żyjących, po większej części nie miały one głowy, były miękkie, bez kości, ale bardzo żarłoczne i napastliwe.

te drzewa jednak dorosły, i pewnej ciężkości nabrały, obalały się i zanurzały w torfowisko, gdzie zwęglanie ich łatwo, chociaż bardzo powoli, się dokonywało Wieki, tysiące, miliony lat przebiegło nad temi tak ułożonemi warstwami butwiejących roślin. W ciągu tego czasu wody naniosły na te cmentarze leśne grube warstwy osadów mineralnych, które osłoniły je sobą i zabezpieczyły od wpływu powietrza, tak, że nie gnijąc, pod naciskiem warstw ziemi i pod wpływem wewnętrznego ciepła, zwęgliły się i skamieniały, tworząc tak cenne dziś pokłady materyału palnego.

W epoce tej, znanej w historyi ziemi pod nazwą „węglowej“, żyły wśród tych ogromnych przestworów leśnych liczne odmiany zwierząt pełzających, cokolwiek podobnych do obecnych płazów i gadów. Żyły więc wtedy jaszczury do żab podobne, a wielkie jak duży wół. Były to zwierzęta ziemnowodne, a przebywały na bagnach i moczarach Na drzewach, krzakach i trawach żyły znów przeróżne stonogi, karaczany, pająki, szarańcze, świerszcze i błotne muchy, żywiąc się sokami tych tak bujnie pleniących się roślin.

Aż przyszedł czas, że ta obfitość wspaniałej roślinności uległa zupełnej zagładzie. Przyszły ze stron dalekich olbrzymie lodowe góry i starły, a zniszczyły wszelkie w tych okolicach życie, natomiast znów pracę około tworzenia pokładów mineralnych rozpoczynając. Więc lodowce te następnie stopniały i masami swych wód zalały ziemię niegdyś tak bardzo płodną. A z wód tych, z mórz, osadzać się zaczęły na dnie warstwy rozpuszczonej soli, która dziś wraz z gipsem na wielkich przestrzeniach ziemi występuje, u nas przeważnie wzdłuż Karpat. *M. T. Bł.*

Zlot Sokołów we Lwowie.

Wiecie, kochane Czytelniczki i Czytelnicy, że celem utrzymania ciała w rozwoju sił i zdrowia, zawiązano przed ćwierć wiekiem i u nas w kraju Towarzystwo pod nazwą „Sokół“. Główny jego zarząd jest we Lwowie, a gniazda osobne czyli koła miejscowe tego Towarzystwa istnieją w wielu, bardzo wielu miastach i wsiach polskich. Członkowie takich „Sokołów“ przedewszystkiem ćwiczą się w gimnastyce, to jest ciało swoje przez rozmaite ruchy, skoki, rzuty itp. uczynić się starają zgrabnem, zręcznem i wytrzymałem, a oprócz tego, będąc związanymi w karne gromady, przyswajają sobie te wszystkie cnoty, które w społeczeństwie stanowią podwalinę wolności i szczęścia. Towarzystwo „Sokół“ co lat parę urządza ogólne zebrania czyli zjazdy, lub — jak je tu nazywamy — „zloty“, podczas których mogą się jego członkowie między sobą poznać, zżyć, porozumieć i siły swe moralne i fizyczne obliczyć. W tym roku w dniach 28 i 29 czerwca odbył się we Lwowie właśnie taki zlot polskiego Sokolstwa, na który zjechało się aż 6.000 członków. Byli więc Sokoli ze Lwowa i Krakowa, z wszystkich niemal miast galicyjskich, z Czech i Chorwacyi (nasi pobratymcy) — oraz kilkudziesięciu Sokołów z Poznańskiego i ze Ślązka górnego. Nic więc dziwnego, że zjazd ten przybrał cechę prawdziwej uroczystości narodowej.

Już w drodze do Lwowa przybywających gości witano wszędzie na stacyach kolejowych gorąco — sama zaś stolica kraju przystroiła domy swe w chorągwie o narodowych barwach i wieńce zieleni oraz napisy „witajcie!“

Oto, co opowiada o tym zlocie naoczny świadek: W sobotę koło godziny 8 wieczorem wpadł pociąg krakowski na dworzec lwowski, przepełniony publicznością, muzyka grała „Jeszcze Polska nie zginęła“, a honorowy pluton „Sokoła“ ze sztandarem oddawał honory. Wszystkich oczy i serca zwracają się ku drużynie wielkopolskiej. Wysiada wreszcie ze swoim prezesem związkowym, posłem Bernardem Chrzanowskim na czele. Niosą wieńce, bukiety, bo już w drodze podbili serca polskie, zanim dotarli do Lwowa. Akt serdecznego powitania trwał krótko; wyprowadzono gości na plac dworcowy. Cały Lwów wyległ na dworzec, aby powitać gości. Młodzież gimnazyalna ustawiona w szeregi. I tutaj wszystkich witają okrzyki „Czołem“, a zwracają się głównie ku Wielkopolanom i naszym bieńczyckim Sokołom, ubranym w barwne sukmany krakowskie. Druh Ptak, imponująca postać polskiego włościanina, zwraca wszystkich oczy. Ustawiają szeregi do pochodu.

Tymczasem nadjechał pociąg z Czechami i Chorwatami. Nowe salwy okrzyków, nowe powitania. Dopiero po przybyciu tych słowiańskich gości ustawiono pochód, który prowadziła muzyka narodowa lwowska, a zamykała młodzież szkół średnich.

Zaledwo koło godziny 10 wieczór zdołali przybyć Sokoli do sali Filharmonii, rozgościwszy się po przygotowanych dla nich, przeważnie w szkołach miejskich, kwaterach. Olbrzymia sala dawnego teatru niezwykły przedstawiała widok. Wszystkie krzesła powynoszono, aby więcej ludzi pomieścić się mogło. Loże i galeryę wypełniły panie. Przed estradą zajęły miejsca Sokolice polskie, po raz pierwszy „w mundurach“ biorące udział w zlocie. Honorowe

miejsce, obok Sokolic, przed estradą zajęli Wielkopolanie, witani i tutaj huraganami oklasków i okrzyków, nadto Czesi i Chorwaci. Na estradzie stanął Związek Sokolstwa polskiego. W głębi zajął miejsce olbrzymi chór „Sokoła“ lwowskiego i za nim muzyka narodowa lwowska.

Chór sokoli rozpoczyna uroczystość hymnem, poczem występuje na estradę prezydent dr. Małachowski i jako gospodarz miasta, a sam Sokół, wita przybyłych gości. Wita Czechów, Morawian i Chorwatów, zwraca się w serdecznych słowach do braci wielkopolskiej. „Serdeczną krwią naszą — rzekł — chętniebyśmy się z Wami podzielili, jak już dzielimy się bólem i łzami, jak się, da Bóg, dzielić będziemy tryumfem sprawiedliwości“. Muzyka gra, nowy grzmot oklasków, odgłosy okrzyków.

Prezes naszego związku sokolego, dr. Ksawery Fischer, wita swoich i pobratymców w podniosłych i serdecznych słowach, zwraca się zwlaszcza z podziękowaniem do Czechów i Chorwatów. Kończy okrzykiem: Na zdar! Zdravo! Czołem!

Występuje znany nam już z poprzednich zlotów wiceprezes związku Sokołów czeskich, Jan Pipich z Chrudima, i w języku czeskim wygłasza dłuższą, pełną ciepła mowę.

Potem przemawia dr. Franjo Buczar z Zagrzebia.

Wreszcie zabrał głos Bernard Chrzanowski, Wielkopolanin. Burza oklasków, panie powiewają chustkami. Mówił spokojnie, jak doskonały mowca:

„Gdyśmy — rzekł — przychodzili tutaj do Was na I-szy Zlot przed 10-ciu laty, było nas dziesięć nielicznych gniazd, a w słowach naszych we Lwowie przebrzmiewała nuta niepokoju o przyszłość... Zrywała się wówczas nad nami wichura szalona i zdawało się, że nas zgniecie, połamie... I przychodzimy do Was po latach dziesięciu, w pośród tejsamej burzy, ale w imieniu gniazd siedmdziesięciu... Dziś nie usłyszycie w słowach naszych nuty obawy i żalu — a będzie w nich nawet — wybaczcie — może i duma. Kiedyśmy wówczas prosili Was o dar, o słowa otuchy, o pokrzepienie serc naszych — to dziś nie żądamy od Was ich więcej, a owszem — Wam przynosimy słowa otuchy i nadziei. (Huczne brawa i oklaski).

„Jak się to stało? To w ogniu hartuje się żelazo, a w ucisku twardnieje dusza. Niejednemu w tym czasie opadły skrzydła, niejedno od nas odleciało ptaszę błyskotliwe, o pięknych piórkach, ale zostało nam to szare ptaszę o silnym locie... Sokół począł wstępować między lud, między sfery rzemieślnicze i robotnicze. (Huczne oklaski). To są dzieje ostatnich lat naszych dziesięciu, a są one odblaskiem dziejów całej naszej dzielnicy. W imieniu prastarej Piastowskiej stolicy, a dziś powiedzieć możemy i w imieniu Ślązka, przynosimy dla waszych serc radość, a dla waszego ducha — wiarę w przyszłość“.

Gdy się uciszyły oklaski i okrzyki „Czołem“, „Na zdar!“, „Cześć Wielkopolanom“ — muzyka zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wszyscy w lożach powstali i wysłuchali w skupieniu pieśni legionów. Potem chór „Sokoła“ rozpoczął „Boże coś Polskę“ i cała sala zabrzmiała błagalną pieśnią, wzniesioną z tysiąca piersi.

Biła północ na lwowskich zegarach, gdyśmy znaleźli się na ulicy.

Nazajutrz radość rozjaśniła Sokołom oblicza. Pięknym, słonecznym porankiem powitała ich niedziela. Północny wiatr unosił w powietrze flagi biało-czerwone i biało-niebieskie, któremi suto przystrojono domy.

Do południa wytrwała pogoda, a z nią dobre humory. Od południa zaczęły czarne chmury pokrywać horyzont, zmienił się kierunek wiatru. Parasole rozpięte złą były przepowiednią. Im bliżej czas ćwiczeń, tem gęstszy rosi kapuśniaczek. Godzina 4 popołudniu — za godzinę początek ćwiczeń, nie podobna czekać.

Długą, wąską uliczką, prowadzącą na prawo od gościńca, wchodzimy w okazałą bramę. Ukazuje się boisko, któremu podobnego dzisiaj pewno nie ma w całej Europie. Z wysokiej trybuny, umieszczonej w połowie obwodu boiska, odzywa się trąbka sokola. To naczelnik Związku, druh Durski, daje znak trąbką: zaczyna się popis.

Muzyka uderza w tony marsza sokolego. Olbrzymią bramą wchodzą zastępy Sokołów czwórkami w swych pięknych strojach. Obcisłe, popielate spodnie, białe koszulki, wycięte głęboko u szyi, nagie ręce; na głowach czapki sokole z piórkiem. Idą powoli, w takt marszu. Dwa tysiące ludzi jest już na arenie. Nagle stają, rozstępują się na szerokość wyciągniętych ramion. I wypełnili szczelnie arenę; stoją, tworzą proste linie na wprost, w szerz, w ukos. Muzyka gra — zaczynają się „wolne ćwiczenia“. W jeden takt wznosi się w jednym kierunku 2 tysiące ramion prawych, potem lewych, obniża i znów się prostuje 2.000 korpusów. Coraz to piękniejsze ruchy, coraz to więcej zwinności widać.

Wolne ćwiczenia kończą się, zaczynają się ćwiczenia na przyrządach. Drużyny składają egzamin z wprawy, zwinności, wyrobienia muszkułów. Egzamin wypada doskonale. Odzywa się trąbka. Drużyny stają w karnych czwórkach, odbywa się wymarsz z boiska.

Podczas tego deszcz przestał rosić. Może przecież słońce zabłyśnie! Wszyscy oczekują z niecierpliwością ukazania się Wielkopolan. Sokolice występują i tworzą szpaler u wejścia na boisko. Jedna z nich trzyma olbrzymi bukiet. Muzyka uderza

w pierwsze tony: już są. Naczelnik Gładysz na czele — ich grono nie wielkie, z kilkudziesięciu druhów złożone. Sokolica p. Helena Bilińska podaje bukiet druhowi Gładyszowi. Zaczyna mówić, ale rozpłakała się i mowę musiała przerwać. Gdy Sokoli posunęli się naprzód, ukazała się na boisku grupa małych dzieci i przystąpiwszy do nich, obsypała ich kwiatami. ścieląc im niejako niemi drogę do popisu. Gromkie okrzyki, wszyscy powstają z miejsc, powiewają chustkami. Muzyka gra — Wielkopolanie ustawiają się w formie krzyża.

Wreszcie Wielkopolanie skończyli popis – gotują się do odmarszu. Pada komenda i w jednem okamgnieniu wszyscy Sokoli, co przedtem otoczyli boisko, biegiem lecą ku drużynie Wielkopolan, rozbijają ich, unoszą na swoje ramiona i wynoszą z boiska. Muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła“. Krzyk, wrzawa, młodzi i starzy, a mniej wytrzymali wśród widzów, spłakali się szczerze.

Wszyscy czuli, że nie grono gimnastyków, nie drużynę Sokołów nawet, obnosimy na ramionach, lecz że przedstawicieli Wielkopolski, Prus, Ślązka unosi reszta Polski w górę, dziękując im za męstwo, odwagę, hart duszy. To za przecierpiane bole, to uznanie i podzięka za ostatnie wybory, to zachęta na dalsze znoje.

Była to scena, która zostawia ślady niezatarte w ludzkiej pamięci, której się nie zapomina.

Deszcz nie padał ani teraz, ani podczas ćwiczeń lancami. Te ćwiczenia, to pomysł „Sokoła“ krakowskiego. Tysiąc kilkuset Sokołów w czapkach, w ćwiczebnych strojach, wkracza przy muzyce czwórkami na boisko. W rękach ma każdy lancę ułańską z biało-czerwoną chorągiewką. W pośrodku tej masy postępują włościańscy Sokołowie z Bieńczyc, z Franciszkiem Ptakiem, wszyscy w krakowskich strojach. I oni mają lance w rękach. Gdzie się zbliżą, wywołują oklaski. Muzyka gra pieśni patryotyczne w takt marszu. Fruwają w powietrzu chorągiewki, błyszczą ostrza lanc, to w prawo, to w lewo się zwracając. Na daną komendę: „do nogi broń“, prostują się ludzie, lance stają i tworzy się znowu las ludzi i las lanc ułańskich.

Pod wrażeniem tych ćwiczeń wychodzimy z areny.

Na poniedziałek rano zapowiedziano „mszę polową“ na boisku. Msza była rzeczywiście — ale było i coś jeszcze, czego wielu nie spodziewało się. To był wielki przegląd Sokolstwa polskiego — a był to najwspanialszy i najpiękniejszy punkt z całego zlotu.

Około godziny 10 zapełniły się widzami trybuny i okoliczne wzgórza tak samo, jak poprzedniego dnia na ćwiczeniach. Poranek był słoneczny. Ołtarz urządzono na najwyższej trybunie. Na boisko wkraczać zaczęły drużyny sokole, z rozpuszczonemi, fruwającemi w powietrzu chorągwiami.

Odezwał się dzwonek. U ołtarza ukazał się ks. prałat Lenkiewicz w ornacie. Służyli mu do Mszy św. dwaj Sokoli w mundurach. Muzyka narodowa przygrywała pieśni kościelne. Sześć tysięcy Sokołów w ordynku ustawionych; wszyscy z przerzuconą na lewe ramię czamarką, a w czerwonych koszulkach. Na skrzydłach chorążowie z wzniesionemi sztandarami. Płyną w świetlanem powietrzu chorągwie z popiersiem Matki Boskiej i orłami polskiemi, zrywają się srebrne sokoły z drzewców. Na przedzie unosi się sztandar związkowy; na prawo od niego oddział „Sokoła“ krakowskiego. Przy chorążym na prawo widać nikłą postać zakonnika w habicie kapucyńskim. Na habicie przypięte ma godła sokole. To kapelan „Sokoła“ krakowskiego, Kapucyn ks. Anioł. Pomaszerował potem przez miasto ze swoją drużyną. Po lewej ręce chorążego olbrzymia postać druha Ptaka w stroju włościańskim.

Dzwonek ministrantów odzywa się. Podniesienie. Sześć tysięcy Sokołów przyklęka, unosi czapki, pochyla sztandary.

Rzewny był widok, gdy pod koniec Mszy św. muzyka zaintonowała „Boże, coś Polskę“, a podjął jej nutę cały zastęp Sokołów, odkrywszy głowy. Publiczność powstała z miejsc i przyłączyła się do tego błagalnego chorału. Może już dawno, bardzo dawno, z tylu naraz piersi polskich nie wzbijała się w niebiosa pieśń: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Msza kończy się. Po chwili wychodzi na trybunę ks. Lenkiewicz w komży i od ołtarza ma kazanie, pełne porywów patryotycznych i kapłańskiego namaszczenia. „Sokolstwo polskie — rzekł — ma dać społeczeństwu swemu to, czego mu potrzeba: zdrowie fizyczne i duchowe, ma kształcić wolę żelazną. Kto pełni należycie zrozumianą służbę sokolą, ten zyska poczucie godności własnej i uszanuje godność obcą. Sokolstwo polskie nie sprzeniewierzyło się nigdy Kościołowi i w nim czerpie natchnienie. Dalszym jego znojom i bojom niech błogosławi Bóg“.

Potem nastąpiły przemowy i wręczanie upominków. Wreszcie wyruszono z powrotem i wspaniałym pochodem przez miasto ciągniono przeszło dwie godziny.

Piękna pogoda wytrwała tylko do 3 po południu. Od tej chwili drobny deszcz zaczął rosić, i z małym wyjątkiem, nie przestał padać do nocy. Mimoto o godzinie 5 odbyły się ćwiczenia publiczne na boisku. Przedewszystkiem wykonali ćwiczenia Sokoli polscy, mianowicie ćwiczenia wolne. Sokolice, już najserdeczniej przyjmowane, wykonały następnie ćwiczenia laskami, oraz rozmaite gry i zabawy. Bardzo liczny zastęp Sokołów polskich wykonał następnie ćwiczenia maczugami, a Sokoli czescy wykonali ćwiczenia na przyrządach. Widowisko zakończyły znowu ćwiczenia

lancami Sokołów polskich. Mimo deszczu wszystkie trybuny i miejsca zapełniła publiczność. Ćwiczenia zakończyły się o godzinie 8 wieczorem.

Wieczorem odbyło się pożegnanie Sokołów na Strzelnicy miejskiej, poczem goście zaczęli się rozjeżdżać nocnymi pociągami.

Odbyło się nadto w niedzielę wieczór przedstawienie w teatrze miejskim i urządzono wieczorek sokoli w gmachu „Sokoła“.

Serbia.

Serbia leży od nas na południu, tuż za Węgrami. Narodu serbskiego czyli Serbów jest około 4-ech milionów. Zajmują oni dość duży obszar ziemi, ale ta ich ziemia i sam naród jest podzielony między kilka mocarstw. Północny, najbliższy od nas koniec kraju serbskiego należy do Węgier, jest więc razem z Węgrami pod panowaniem cesarza austryackiego. Zachodnia część zwana Bośnią, od ćwierci wieku też w skład cesarstwa austryackiego weszła, a przedtem była pod Turkiem. Na południu i południo-zachodzie do dziś dnia na kawale serbskiej ziemi Turcy rządzą. A na niewielkim i bardzo górzystym obszarze ku morzu, zajmującym tyle miejsca, co u nas jedna z najmniejszych gubernij, leży osobne małe mocarstwo. Wszyscy tam mówią po serbsku i mają swój rząd, swojego księcia, ale kraik ten zowie się Czarnogórą, księstwem Czarnogórskiem. Serbia zaś dzisiejsza, właściwa, królestwo Serbskie, położone między owemi państwami, na wschodzie zaś graniczącej z Rumunią i Bułgaryą, ma niewięcej nad 2 miliony. Ludność utrzymuje się głównie z rolnictwa i pasterstwa. Najwięcej dochodu dają jej świnie, wypasane żołędziami drzew bukowych i wyprawiane na sprzedaż do Austryi, lub do dalszych krajów. Rzeki Dunaj i płynąca do Dunaju Sawa odgraniczają królestwo Serbskie od monachii węgiersko-austryackiej. Główne miasto Serbów, stolica ich, Belgrad czyli Białygród, leży właśnie nad Sawą. Jest to miasto tej wielkości, co Kraków.

Niegdyś, przed trzynastu wiekami, przodkowie Serbów mieszkali bardzo blizko naszych przodków, w tych okolicach, z których Wisła płynie i gdzie Kraków leży. Niewiadomo dlaczego przenieśli się ztamtąd na południe, za Dunaj i za Sawę, na teraźniejsze siedziby. Tam naród ich dzielił się na kilka części, a każdą rządził „żupan“, niby taki pan, czy książę, czy wojewoda. Aż podbili tych żupanów z całym ludem Bułgarzy, a potem znowu Grecy, których cesarz w mieście Konstantynopolu podówczas siedział. Bułgarzy też i Grecy owi zaprowadzili wtedy wśród Serbów wiarę chrześcijańską obrządku wschodniego. Pomału jednak wybili się Serbowie z pod Greków, a potem jeden z ich żupanów, Nemania, połączył cały kraj i naród w jedno. I trzysta z górą lat Serbia była wolnym krajem, a władcy jej z rodu Nemani, czyli Nemanici, zwali się kralami, po polsku — królami. Serbia więc była królestwem. Jeden z jej królów, Stefan Duszan, wojując zwycięsko z cesarstwem greckiem i z innymi sąsiadami daleko rozszerzył granice swego państwa. Królestwo Serbskie rozciągało się na zachód do morza Adryatyckiego, a na południe do Greckiego morza. Bał się cesarz, żeby go i z Konstantynopola Duszan nie wygnał, więc wezwał przeciwko niemu Turków z za morza, z Azyi Mniejszej. Tego im tylko było potrzeba. Przeprawili się Turcy do Europy i tu zaczęli swe panowanie szerzyć. Nie daliby się jednak im Serbowie; ale na nieszczęście Duszan umarł, a między nimi samymi wszczęła się niezgoda i nienawiść. Syn Duszana, ostatni z rodu Nemeniców, został zabity, Bośnia oddzieliła się, kawał ziemi zdobyli Węgrzy, kawał Turcy i królestwo serbskie zmalało i osłabło. Wreszcie władca Turków przedsięwziął wielką wyprawę, aby całkiem Serbię zawojować. Zastąpił mu drogę na Kosowem Polu król serbski Łazarz. Bitwa była straszna. Zginął i Łazarz i sam sułtan turecki Murat. Ale Turcy zwyciężyli. Zawojowali Serbią, potem inne krainy, i wreszcie stolicę cesarzy greckich, Konstantynopol, zdobyli w r. 1455.

Od owych czasów Serbia półpięta wieku była w tureckiej niewoli. Jej szlachta i potomkowie żupanów i wojewodów częścią wyginęli, częścią zaś ratując swe życie i mienie, na Turków się przerobili. Pozostała Serbia bez ludzi światlejszych, nawet bez gospodarzy, właścicieli rolnych i bez nauki, bez książek. Zdawałoby się, że i pamięć o dawnych dziejach w narodzie zaginie. Ale w ustach ludu, w ustach pasterzy, parobków, w lichych chatach, po górach i lasach, nawet wśród band zbójeckich żyły stare pieśni serbskie. Śpiewano i opowiadano o królu Duszanie i innych bohaterach. Tym sposobem nie zapomnieli Serbowie o sobie, wiedzieli, kim są. Aż po czterech wiekach niewoli doczekali się takich czasów, że Turcya, której cały świat bał się, zaczęła słabnąć. Serbowie chociaż w ciemnocie pogrążeni i zdziczali, zapragnęli jednak z tego korzystać. Broń mieli przechowywaną i władać nią umieli. Znaleźli się też między nimi ludzie odważni i przedsiębiorczy. Takim był sto lat temu, jeden chłop, imieniem Dżiordże czyli Jerzy, przezwany Czarnym, po turecku Kary (Karadżiordże). Zachęcił on lud do walki i tworząc małe oddziały siedem lat z Turkami wojował. Z początku rząd tu-

recki uważał go tylko za zbója, włóczącego się z bandą. Aż w końcu nie mogąc go pojmać, ani pokonać, a chcąc mieć spokój, wdał się z nim w układy i zgodził się uznać go za naczelnika, za księcia Serbów. Jerzy za to obiecał być cesarzowi wiernym i płacić co rok zbieraną u Serbów daninę, czyli podatek. To był pierwszy początek wyzwolenia Serbów.

Ale w owych walkach z Turkami wsławił się i drugi Serb, Miłosz, który przybrał sobie nazwisko przyrodniego brata, Obrenowicza. Miłosz był pastuchem i handlarzem świń, takim samym prostakiem, jak Karadżordże, któremu też pragnął we wszystkiem dorównać. Kiedy więc Kary po kilku latach pokoju znowu na Turków się porwał, ale został pobity i kryć się musiał, wtenczas Miłosz na czele Serbów stanął, Turków pobił i zawarł z nimi ugodę, a potem w podarunku im przysłał głowę zabitego Karadżordżego. I przez dziesiątek lat Miłosz Obrenowicz był księciem Serbów. Później musiał ustąpić, posadził jednak na swem miejscu syna swego. Gdy już rządy tych Obrenowiczów trwały więcej niż ćwierć wieku, Serbowie ich wygnali i obrali sobie księciem Aleksandra, syna Jerzego Czarnego, czyli Karadżiordżewicza. Po latach jednak piętnastu i jego rządy im się sprzykrzyły, więc obrali napowrót żyjącego jeszcze, starego Miłosza. Ten niedługo umarł, a księciem został syn jego Michał, człowiek dzielny i staranny o dobro kraju. Dążył on do duchowego i cielesnego podniesienia narodu, a przytem do zupełnego wyzwolenia Serbii z pod Turka, bo wciąż jeszcze trzeba było płacić Turcyi daninę roczną, używać w Serbii tureckich znaków (chorągwi), a książe był uważany za podwładnego sułtanowi. Wtem pewnego dnia Michał został w ogrodzie zabity. Wszyscy byli pewni, że zabójcę nasłał Aleksander Karadżordżiewicz, aby mógł sam panować. Złorzeczono mu więc, sądy skazały go na więzienie. Że zaś Michał syna nie zostawił, obrano księciem jego 13-letniego synowca, Milana i ustanowiono opiekunów, którzy też do czasu pełnoletności księcia nad rządami kraju czuwali. Milan doszedłszy do lat i objąwszy rządy, ożenił się z możną rumunką, Natalią, a potem pragnął doprowadzić do skutku zamiary swego zabitego stryja, uwolnić zupełnie Serbię z pod zwierzchnictwa Turcyi. Przyszło więc w roku 1876 do wojny. Serbowie zostali przez Turków pobici; ale na ich szczęście zawrzała w roku następnym wojna między Rosyą a Turcyą, a później przy ostatecznem zawarciu pokoju, księstwo serbskie zostało całkiem z pod zwierzchnictwa Turcyi wyzwolone i w dodatku jeszcze otrzymało spory kawał ziemi. W kilka lat później Milan przemianował księstwo serbskie na królestwo i koronował się na króla. Serbia więc za niego wzrosła i nabrała większego znaczenia. Ale w roku 1885 Milan bojąc się wzrostu niedawno utworzonego księstwa Bułgaryi i sądząc, że ją łatwo pobić, wtargnął do niej z wojskami. Wnet jednak został sromotnie pobity i Bułgarzy na odwet do Serbii wkroczyli. Tylko rząd austryacki do przerwania wojny ich nakłonił i Serbię z kłopotu wydobył.

Odtąd przestało się wieść Milanowi, nie umiał sobie dać rady ani z narodem, ani z własną rodziną. Z żoną się poróżnił i rozwiódł. Serbii zgodził się nadać nową „konstytucyę“, czyli nowe prawo, nowy ustrój państwa, który zmniejszył władzę królewską, a rozszerzył władzę ludu, jego prawa głosowania i wyborów. Wreszcie królowanie Milanowi całkiem się sprzykrzyło. Mając zaledwo 35 lat zrzekł się godności królewskiej. Natomiast syna swego, 12-letniego Aleksandra, królem uczynił, ustanowił nad nim i nad królestwem opiekę i sam z Serbii wyjechał. I później jednak od czasu do czasu do jej rządów się wtrącał, zwłaszcza gdy pieniędzy potrzebował, a nawet objął był główne dowództwo nad wojskiem.

Kiedy syn zupełnie dorósł i był królem samodzielnym, Milan chciał ożenić go z jaką wielką księżniczką panującego domu, aby tem większe poważanie serbskiemu królewskiemu rodowi zapewnić. Aliści syn, młody król Aleksander i ojcu i wszystkim niespodziankę urządził. Rozkochał się w jednej zwyczajnej choć z bogatej rodziny Serbce, i to wdowie o 9 lat od siebie starszej, którą był poznał na dworze swojej matki. Nie zważając też na gniew ojca i matki zagranicą mieszkającej, ani na rady, przestrogi i opór ministrów niektórych, z tą swoją ukochaną Dragą ożenił się, trzy lata temu, i ją zrobił królową serbską. Nie wszyscy jednak to małżeństwo ganili. Nie brakło też po gazetach serbskich i zagranicznych pochwał, że król serbski nie z jakąś cudzoziemką, jeno z prawdziwą Serbką się ożenił, i da krajowi czysto serbski ród panujący. Chwalono Dragę, że jest nietylko piękna, ale i mądra kobieta, że więc potrafi być pomocą mężowi w kłopotach i trudach królowania. Tymczasem ojciec królewski, Milan, zerwawszy z synem, zachorował i umarł w Wiedniu. Matka zaś, Natalia, mieszkająca we Francyi, pojechała do Rzymu i przyjęła wyznanie katolickie.

W Białogrodzie zaczęto oczekiwać narodzin następcy tronu. Nic się wszakże nie narodziło, a po świecie rozeszła się wieść, że królowa Draga nie jest wcale do macierzeństwa zdolna. Potem zaś zaczęto rozgłaszać, nie wiadomo, czy prawdę, czy plotkę na psotę zmyśloną, że król ma zrobić następcą tronu jednego z dwóch Luniewiczów, braci żony, którzy służyli, jako oficerowie w wojsku serbskiem. No i w licznych sercach serbskich rozgorzały uczucia. Jakie?

Ludzie rozumni, szlachetni i o dobro narodu swojego troskliwi, martwili się potrosze, że przyszłość rodu królewskiego nie jest wcale zabezpieczona,

a przez to i losy królestwa, więc też i losy kraju mniej pewne. Do rozpaczy jednak żadnego powodu nie było. Nie o to tu szło, i nie takiemi uczuciami pałano.

W nizkich sercach licznych kobiet i rodzin, zwłaszcza zaś w stolicy, w Belgradzie, rozgorzała zawiść i zazdrość.

Nie mniej od takich serc babskich niepokoiły się o wiele jeszcze niższe serca różnych mundurkowych darmozjadów, wyzyskiwaczy i tchórzów, którzy w zuchów się bawią.

Z takich to zawiści i zazdrości wyrodziła się niechęć i nienawiść. Wiadomo też, Karadżordżewicze nie przestali czyhać, rychło Obrenowicze miejsca im ustąpią. Było więc komu i poco mącić.

W zamęcie zaś trudne położenie i króla i jego ministrów, tem trudniejsze, im władza ich mniejsza, im posłuszeństwa mniej. Na początku więc tej wiosny król Aleksander z ministrami, przynajmniej z niektórymi, postanowili władzę swoją wzmocnić, a prawa ludu nieco ukrócić. I znaleźli na to sposób, jak się zdawało na razie, bardzo łatwy, ale jak się okazało później, zbyt zuchwały.[3] Napisaniem kilkunastu wyrazów na papierze znieśli owo prawo czyli konstytucyę, nadaną w roku 1889 przez Milana, o której była już tu wyżej wzmianka. Sejm i senat serbski zostały rozwiązane i zarządzono nowe wybory. Odbyły się one według przepisów dawniejszych. Cóż, kiedy nowo obrany sejm zgromadzić się już nie mógł. Stało się to, czego ani król, ani królowa, ani ministrowie zapewne nie spodziewali się i nie przypuszczali. Zbrojna i liczna banda podburzonych, nienawiścią i żądzą krwi pałających, poszła na czele wojska z imieniem Karadżordżewicza na ustach i dopuściła się ohydnych zbrodni na bezbronnych, zabiła króla i królowę, splugawiła kraj i naród serbski; a potem zwołała sejm z senatem i kazała im obrać wskazanego przez siebie króla Piotra, a spełnione czyny pochwalić.

I wybrani przez naród serbski posłowie sejmu i senatorowie wszystko, co im kazano, najposłuszniej spełnili. Nie omieszkali nawet owej bandzie uroczyście podziękować i jej kamratów zbawcami narodu wobec świata całego nazwać.

Tak tedy panuje teraz w Serbii nowy król Piotr Karadżordżewicz, syn Aleksandra a wnuk Jerzego Czarnego.

O potrzebie zakładania wiejskich straży pożarnych.

Przez Jana Szafrańskiego.

Wieś Wesoła nie napróżno tak się nazywała, mało bowiem widziałem tak szczęśliwych miejscowości. Ile razy przejeżdżałem przez nią, patrząc na schludne chaty, przepełnione stodoły i brogi, zdrowe i wesołe twarze, nabierałem prawdziwej ochoty do życia, i uczuwałem rozkosz, jakiej doznawać może człowiek ciężkiej pracy, który wybrał się na wieś. Kiedy koniki, minąwszy wieś raźnym kłusem, biegły po twardej drodze, zdala jeszcze dolatywał mnie wesoły gwar, śmiechy i pieśni szczęśliwych ludzi.

I było tego szczęścia lat... parę.

W kilka lat później odbywałem znów zwykłą swą podróż. Naprzód już cieszyłem się, że ujrzę znajomych mi mieszkańców Wesołej‘ to też nagliłem woźnicę, by popędzał konie na wzgórek, z którego otwierał się widok na całą wioskę. Kiedy konie stanęłu u szczytu, doznałem przykrego zawodu. Dziwny jakiś opar zasłaniał widok, mimo, że dzień był pogodny. Nie rozumiałem jeszcze, co to znaczy, ale jakieś straszne przeczucie ścisnęło mi serce.

Wóz toczył się szybko po pochyłej drodze, i im bardziej zbliżaliśmy się do wsi, tem wyraźniej występował zapach spalenizny, utwierdzając moje podejrzenie, że stało się tu nieszczęście.

I rzeczywiście późnym wieczorem dnia poprzedniego powstał z niewiadomej przyczyny pożar, który wiatr rozrzucił wkrótce. Poczęło się palić w kilku punktach wsi naraz; ludzie potracili głowy; każdy chciał ratować tylko swoje, i mimo, że we wsi nie brak było wody, do rana z pięknej wioski pozostały tylko zgliszcza. Spłonął piękny, drewniany kościół, szkoła, nie ostało się nic.

Krwią a ogniem — chyba — trzebaby pisać, aby przedstawić całą grozę i cały ogrom nieszczęścia, które dotknęło mieszkańców sioła.

Wśród kup popiołu, węgla i niedopalonych zrębów, snuły się milczące, półnagie cienie ludzkie, ze szklanym wzrokiem, skurczonemi rozpaczą twarzami. Inni siedzieli, kryjąc oczy w dłoniach, lub leżeli bez ruchu, przypadłszy twarzą do ziemi. Tu i ówdzie gromadka nagich dzieci rozgrzebywała dymiące jeszcze spalenisko, wygartując zwęglone ziarno. Gdzieniegdzie odezwał się cichy jęk, płynąc bolesną skargą ku niebu...

Za wioską, pod krzyżem przy rozstajnych drogach, klęczała gromadka ludzi. Przewieszone

przez plecy węzełki i kije w rękach wskazywały, że to właśnie ich pożegnanie z rodzinną wioską, że to bezrolni, którym pozostał tylko kij żebraczy... Z daleka jeszcze widziałem wzniesione ich ręce, sterczące niemą boleścią i modlitwą błagalną ku Ukrzyżowanemu.

To też kiedy czytam w gazetach wiadomości o rozlicznych pożarach w naszym kraju, straszny ten obraz odświeża się żywemi barwami w mej pamięci i budzi ból, jakiego doznawałem wówczas.

A wiadomości tych bez liku!

Przytoczę tu tylko najświeższe i największe:

W miesiącu lutym spłonęło: w Śniatynie 25 gospodarstw i 5-cioro ludzi, w Ciszkach pod Oleskiem 40 gospodarstw, w Czarnym Dunajcu 18 domów, w Dolinie 160 domów (szkodę obliczono na 400.000 koron), w Zaleszczykach 16 domów, w Kutach 370 domów (205.000 koron).

W miesiącu marcu:

W Zadubrowcach 5 zagród i 5 osób, w Nieznanowie 3 osoby, w Dąbrowie 12 domów.

W miesiącu kwietniu:

W Głęboczu 20 gospodarstw (41.000 koron), w Lipowcach pod Przemyślanami 24 gospodarstw i jedna kobieta (52.000 koron), w Gródku na przedmieściu 60 domów, w Tarnopolu 16 domów (40.000 koron), w Klusowicach 36 zagród (45.000 koron), w Uhnowie 40 domów, w Lanczynie 154 gospodarstw (250.000 koron), w Putiatyńcach 227 budynków i dwoje dzieci (koron 120.000), w Mikulińcach 400 domów i 3 osoby (400.000 koron).

W miesiącu maju:

W Dziebułkach pod Żółkwią 63 gospodarstw (140.000 koron), w Lubieniu 200 budynków (100.000 koron), w Rozdole 100 domów, w Kukizowie 300 budynków, w Kułakowcach 18 domów (30.000 koron), w Bieczu 90 domów (koron 300.000), w Wierzchni 46 zagród (46.000 koron), w Stańkowej 24 gospodarstw (40.000 koron), w Rożniatowie 100 domów, w Sąsiadowicach 13 zagród, w Dąbrowie 10 budynków.

Spis to bardzo niedokładny i zaledwie cząstka wszystkich pożarów w kraju. Związek strażacki, który zbiera daty, otrzymuje codzień stosy sprawozdań, które wykazują w ciągu całego roku ogromne, wprost przerażające sumy. Posłuchajmy tylko:

W roku 1898 wynosiły szkody w miastach i miasteczkach oraz w gminach wiejskich koron 6,554.608.

W roku 1899 koron 4,061.785.
W roku 1900 koron 8,863.075.
W roku 1901 koron 16,895.977.
W roku 1902 koron 3,326.560.

W przeciągu lat pięciu bez mała **40 milionów koron**, to już suma, nad którą nawet największy bogacz amerykański zastanowiłby się, zanim by ją rzucał na marne. My sobie pozwalamy na to, chociaż — pomyślmy tylko — coby to można mieć za te pieniądze, gdybyśmy je wydawali na oświatę, na ulepszenie gospodarstw, osuszanie bagnisk i t. d.

Ciężko uginamy się pod ciężarem podatków, a sami nakładamy na siebie tak wielki podatek i dopuszczamy tak srogiego egzekutora, jakim jest pożar, do naszych chat i stodół po to, aby nam zabrał ostatnią poduszkę, ostatni snop.

Zdarzyło mi się raz słyszeć człowieka, który wyobrażał sobie, że ponieważ zaasekurował się, to może nie dbać o to, czy się spali, czy nie. Człowiek ten był bardzo nierozsądny, bo wprawdzie Towarzystwo asekuracyjne zapłaci mu, w razie wypadku, poniesioną szkodę, ale ani z węgla i z popiołu nie wskrzesi drzewa, ani słowem spalonej chaty nie odnowi. Szkoda pozostanie, jak była, a uczują ją inni zabezpieczeni, których wpłaty poszły na odszkodowanie dla nierozsądnego.

To też poza asekuracyą innych środków i innych dróg obrony szukać nam potrzeba, jeżeli nie chcemy, aby pożary zaciężyły na nas karą Bożą za naszą nieporadność i obojętność względem nas samych i naszych bliźnich!

Zapobiedz pożarom można w dwojaki sposób:

1) budować się tak, aby pożar nie mógł się łatwo rozwinąć;

2) zorganizować obronę pożarną w ten sposób, aby można każdy pożar już w zarodku stłumić i nie dopuścić do rozszerzenia się.

Pierwszy z tych sposobów jest na razie niewykonalny, bo nie stać nas na to, abyśmy sobie tak za jednym zamachem pobudowali murowane domy i zabudowania gospodarskie, drugi leży w naszej mocy i potrzeba tylbo dobrych chęci, aby go wykonać.

Tym drugim sposobem, to założenie ochotniczej straży pożarnej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to tam taka straż dobra dla miasta, a dla gminy wiejskiej niepotrzebna, bo jak będzie straż nocna na wsi i ludzi pobudzi, to i tak wszyscy pobiegną do ognia.

Otóż potrzebna i bardzo potrzebna, a dlaczego, to zaraz zobaczymy. Coby to było za wojsko n. p., któreby wtedy dopiero myślało o mustrze, kiedyby je nieprzyjaciel już zaczął bić? Niejeden może chciałby dzielnie walczyć, na

nicby się to jednak nie zdało, bo nie umiałby nawet karabina wziąć do ręki. Machałby ta tem jak cepiskiem, ale że nie zwyciężyłby, to pewne. Skoro tedy żołnierz musi się wprzód nauczyć, jak ma zwyciężyć nieprzyjaciela, to jak dopiero musi być wyćwiczony ten, kto się chce mierzyć z tak straszliwym wrogiem, jakim jest pożar. Bo to zaczaja się chytrze, a zwolna karmi; żmiją się czołga, dokóki nie nabierze sił; nietoperzem przelatuje ze strzechy na strzechę; ani się spostrzeżesz, jak ogarnie całą wieś, a potem urąga wysiłkom ludzkim.

Nie siłą, ale sztuką bije się więc takiego wroga, a najlepiej okazuje się to po wielkich miastach, gdzie kilkunastu wyćwiczonych strażaków prędzej go zmoże, niż gdyby się zbiegła połowa wszystkich mieszkańców.

Potrzeba zatem wyćwiczonej straży pożarnej i gminie wiejskiej.

Teraz jeszcze pytanie, czy znajdą się we wsi ludzie chętni, którymby się chciało ćwiczenia odbywać? Toż to przecież ludziska i tak się dość narobią!...

Młodzież wiejska ma pewien nadmiar sił i chętnie zbywa go w zabawie. Dlatego nie wątpię, że w każdej wsi znajdą się młodzi, którym taka godziwa i pożyteczna dla bliźnich zabawa, jaką znaleść można w ćwiczeniach strażackich, bardzo będzie się podobała, trzeba tylko, aby ich starsi zachęcili.

Tak więc żołnierzy przeciwko naszemu wrogowi znajdziemy; ale żołnierz bez broni, a strażak bez przyborów jednako nic nie zdziałają. Ale i największa ta trudność da się przy dobrej woli usunąć.

Przyznać trzeba, że ze wszystkich stron widzimy tę dobrą wolę. Oto i Związek strażacki i Zarząd Kółek rolniczych uchwaliły postarać się o fundusz pożyczkowy dla gmin na zakupno sikawek, tak że w przeciągu kilku lat wszystkie gminy w kraju będą mogły mieć sikawki. Dalej Wydziały powiatowe chętnie spieszą z pomocą pieniężną gminom, organizującym u siebie obronę pożarną. Towarzystwa ubezpieczeń także skłone są do wspierania straży, ale już największy obowiązek dostarczenia funduszów mają gminy, bo to wyłącznie dla ich dobra zawiązują się straże pożarne, to też nie ulega wątpliwości, że dadzą coś na ten cel.

Trzeba zatem jak najprędzej zwołać w gminie zgromadzenie Kołka rolniczego, uchwalić zawiązanie straży, zachęcać młodych, wyszukać im naczelnika i straż gotowa. Nie potrzeba się tem zniechęcać, że niema jeszcze przyborów pożarnych, bo i to wszystko się znajdzie, jeżeli tylko Kółko zaraz po zawiązaniu straży rozpocznie starania o potrzebne fundusze, a to najprzód u gminy, bo ta najwięcej z tego będzie miała korzyści, dalej u Towarzystw asekuracyjnych, a wreszcie w Wydziale powiatowym.

Na pierwszą zaraz wiadomość o założeniu straży, pospieszy także Związek strażacki z radą i pouczeniem.

W ten sposób dojdziemy wkrótce do tego, że będziemy mieli tyle straży pożarnych w kraju, ile Kółek.

Niebezpieczeństwo pożarów znacznie się zmniejszy, ludzie spać będą spokojniej i błogosławić będą założycieli, którzy przyczynią się do uratowania milionów krajowi i wprowadzenia w życie Chrystusowej zasady miłości bliźniego i poświęcenia dla ubogich.

O skórze i chorobach skóry

przydarzających się najczęściej u naszego ludu wiejskiego.

Napisał Dr. Ż.

I.

W artykule tym i następnych pomówimy o skórze, o ważności jej i potrzebie utrzymywania w czystości, oraz o różnych zmianach chorobowych, przydarzających się najczęściej na skórze, ze szczególnem uwzględnieniem chorób u naszego ludu wiejskiego.

Skóra służy do pokrycia naszego ciała; w jednych miejscach przykrywa ona części miękkie, a mianowicie mięśnie, pod nią się znajdujące, jak n. p. na rękach i nogach — w innych pokrywa kości, jak np. na głowie i tu też porosła jest włosami, które osłabiają do pewnego stopnia siłę uderzeń, na jakie człowiek jest niejednokrotnie narażony, przez co ochraniają mózg, znajdujący się w czaszce. Ale oprócz ochrony naszego organizmu, ma skóra i inne zadanie do spełnienia. Każdy z nas zauważył zapewne, że skóra wydziela z siebie pot, zwłaszcza wtedy, gdy człowiek pracą fizycznie się męczy, a najwięcej w lecie. Wydziela skóra pot i w zimie, jednakowoż znacznie mniej niż w lecie. Ma to wielkie znaczenie dla człowieka, albowiem pot parując obficie w lecie, ochładza nasz organizm i nie pozwala na zbytnie podniesienie się ciepłoty, coby nam bardzo zaszkodziło. Inaczej zaś jest w zimie,

w którym to czasie człowiek nie może tracić dużo ciepła, boby mu to również zaszkodziło i wtedy też pocenie się jest znacznie mniejsze. Tak więc pot reguluje ciepłotę naszego ciała.

Pytanie, gdzie się pot w skórze wytwarza? Częściowo w samej skórze, a po części i pod skórą znajdują się liczne bardzo maleńkie gruczoły potne, t. j. takie narządy, do których dopływa krew i oddaje im części dla siebie niepotrzebne, a w skład potu wchodzące. Od takich gruczołów, w których pot się wytwarza, prowadzi cieniuchny kanalik, którego otwór jest na powierzchni skóry, a przez który pot wypływa kropelkami na skórę.

Oprócz gruczołów potnych, znajdują się też w skórze i inne gruczołki, które mają wydzielać łój skórny, tłuszcz, który wydostaje się na powierzchnię skóry i sprawia, że skóra się nie zsycha, ale jest elastyczną i sprężystą. U ludzi starych zanikają te gruczoły do pewnego stopnia i ztąd pochodzi, że skóra ich jest szorstką i chropawą.

Ale wydzielanie się potu nietylko reguluje ciepłotę naszego ciała, lecz z wydalonym potem pozbywamy się różnych składników trujących, które, gdyby pozostały w organizmie, bardzoby nam zaszkodziły.

Łatwo pojąć, że jeżeli wydzielanie potu z jakiejś przyczyny się zmniejszy, to organizm, chcąc się koniecznie pozbyć tych składników szkodliwych, znajdujących się w pocie, musi je wydalić inną drogą i rzeczywiście tak się też dzieje, a czynność tę biorą na siebie nerki. Ale nerki już mają dosyć do roboty, wydzielając z ustroju mocz, przybywa im więc nowa praca, zdwojona, co szkodliwie oddziaływa na nie, tak, że uledz mogą schorzeniu. Wiedząc o tem, łatwo pojmiemy, jak ważną dla zdrowia ludzi jest czystość skóry. Skóra pokryta brudem, jak się to u nas wśród ludu roboczego i wiejskiego aż nadto często przydarza, nie może wydzielać potu, gdyż brud zatyka w znacznej mierze ujścia kanalików potnych, przez co ustrój ludzki cierpi. Doprawdy, aż litość bierze, gdy się widzi, że przez wieś płynie rzeka, a wieśniacy co najwyżej moczą sobie nogi w rzece, jakby się bali wziąć pełnej kąpieli, zmyć całe ciało mydłem kilkakrotnie, przynajmniej raz na kilka dni. Ale oprócz oczyszczania skóry z brudu, kąpiel, zwłaszcza rzeczna, orzeźwia cały nasz ustrój, co każdy na sobie doświadczyć może, czując się rzeźkim, lekkim i chętnym do pracy po kąpieli. Wspomnieliśmy, że skóra prócz potu, wytwarza jeszcze i tłuszcz, który wydziela się na powierzchnię skóry. Otóż, gdy człowiek niedostatecznie obmywa skórę, tłuszcz i pot zagęszcza się na skórze i razem z brudem zatyka nietylko ujścia przewodów potowych, ale i ujścia przewodów łojowych. Łój z gruczołów nie może się wydostać na powierzchnię skóry, ale gromadzi się wewnątrz skóry w coraz większej ilości, tworząc w ten sposób guzki, które gdy zostaną zanieczyszczone brudem, powodują tak często przydarzające się czyraki, zwane świniakami przez lud wiejski. Prawda, że i człowiek, utrzymujący swą skórę w czystości nienagannej, może cierpieć na czyraki, ale aż nadto często, zwłaszcza u naszego ludu wiejskiego, powodem czyraków licznych, porozrzucanych po skórze, jest brud, gromadzący się na skórze, z powodu niechlujstwa i wstrętu do wody.

Ażeby skórę utrzymać w czystości, nietylko o nią dbać należy, ale też o bieliznę i pościel. I na tym punkcie grzeszy lud aż zanadto często. Jako lekarz, miałem w klinice codziennie sposobność spostrzegać brudną bieliznę naszego ludu, a brudną i cuchnącą nieraz tak, że trzeba było zaparcia się, by chorego takiego zbadać dokładnie. Tutaj chociażby chory kąpał się często, bielizna z powodu braku częstego zmieniania, zwłaszcza w lecie, nasiąka potem, tłuszczem i brudem i skórę przez to zanieczyszcza i szkodzi ustrojowi ludzkiemu. Należy więc zmieniać ją, ile możności najczęściej, a zwłaszcza w lecie, co kosztuje nie tak znów wiele zachodu.

Mówiliśmy dotychczas o potrzebie utrzymywania czystości całej skóry w ogólności. Ale na jedno jeszcze chcę zwrócić uwagę, a mianowicie na czystość rąk. Wiadomo oddawna, że za pośrednictwem rąk przenoszą się niektóre choroby zakaźne z jednego człowieka na drugiego. Choroby te nieraz są śmiertelne, połączone z wysoką gorączką; innym znów razem, powodując swędzenie, jak n. p. świerzb, bardzo są przykre dla dotkniętego nią człowieka. I niejednokrotnie się zdarza, że choroby zaraźliwe przenoszą się od domu do domu bardzo często za pośrednictwem rąk, na które dostaje się zaraźliwy jad odnośnej choroby. Gdyby uważano na to i myto często ręce, przez dzień wystarczy wodą i mydłem, do gwałtownego szerzenia się tych chorób nierazby nie przyszło. Również świerzb mniej często przydarzałby się u naszego ludu wiejskiego. Wiedząc o tem, powinniśmy myć ręce przez dzień kilkakrotnie wodą i mydłem bardzo pilnie i jak najczęściej podczas szerzenia się chorób zaraźliwych na wsi, a zwłaszcza wtedy, gdy zetknęliśmy się z takim chorym, albo z domownikami chorego, bo i ci, jakkolwiek nie dotknięci chorobą, mogą ją przenieść na innego człowieka, a sami choroby uniknąć.

W niektórych okolicach panuje u ludu wiejskiego przesąd, że nie należy niemowlętom obmywać główki z warstwy brudu, który się u nich tak łatwo wytwarza, boby to dziecku zaszkodzić mogło. Jestto zdanie z gruntu mylne, gdyż zmywanie brudu ze skóry głowy, dzieciom tylko na zdrowie wychodzi. Gdy zmywanie całego ciała u dziecka w kąpieli uważają nawet na wsi matki za korzystne dla zdrowia niemowlęcia, dlaczegóż głowa, ta najszlachetniejsza część ciała ludzkiego, ma być pokrytą warstwą gnoju za życia? a przecież sam widok takiej brudnej główki dziecka powinien być wstrętnym dla matki i dla otaczających. Należy przeto głowę dziecka zmywać wodą letnią i mydłem, by do tego nie dopuścić, — a gdzie już warstwa brudu się wytworzyła, rozmiękczyć ją przez kilkakrotne polanie oliwą stołową, a potem zmyć wodą letnią i mydłem, a „gościec“ dziecka nie połamie z pewnością.

* * *

Nieodłącznymi towarzyszami brudu i niechlujstwa u naszego ludu są wszy. Dwojakiego gatunku są wszy: jedna, która się tylko głowy czepia, jestto tak zwana wesz głowowa — i druga, która tylko w bieliźnie przebywa, a zwłaszcza w pofałdowanych miejscach, jak w pasie koszuli, są to wszy odzieniowe, te z bielizny robią wycieczki na skórę i gryzą ją dotkliwie. Tam, gdzie brud i niechlujstwo, i jedne i drugie przebywają i mnożą się na jednym człowieku, nie wchodząc sobie zupełnie w drogę, a mnożą się niesłychanie szybko z jajek, składanych przez samice, nazwanych gnidami. Jeśli się widzi na wsi w niedzielę matki „iskające“ wszy z głowy dzieci, to pozornie zdawałoby się, że dbają o czystość dzieci i uważa się to za rzecz chwalebną. Tymczasem tak nie jest. Dzieci rodziców, dbających o czystość skóry i odzienia, wszów mieć nie powinny; wszy są następstwem niechlujstwa w domu, a matkę „iskającą“ za złą matkę uważać należy. Dobra matka i dbająca o czystość swoją i swej rodziny, nie powinna dopuścić do zagnieżdżenia się robactwa. I znowu wracamy do tego, o czem mówiliśmy poprzednio; czystość skóry, bielizny i pościeli, częste zmywania skóry głowy, przystrzyżonej u chłopców na krótko, wodą i mydłem — „iskanie“ zrobi zbytecznem. Tam, gdzie wszy się zagnieździły, należy na noc polać głowę mięszaniną oliwy i nafty po równej części (z ogniem zdaleka!!) — głowę zawiązać chustką, a na drugi dzień zmyć kilkakrotnie głowę wodą ciepłą i mydłem i wyczesać, a za kilka dni dla pewności powtórzyć to samo po raz drugi. Wszy z odzienia wygubi się najpewniej przez wygotowanie bielizny, zaś suknie wierzchnie należy wytrzepać dobrze i oczyścić szczotką kilkakrotnie.

W niektórych okolicach u naszego ludu wiejskiego, a zwłaszcza u kobiet, jest zwyczaj smarowania włosów na głowie niesolonem masłem. Zkąd się ten zwyczaj wziął, nie wiem, bo przecież przyroda sama postarała się o to, by włosy nie wysechały zbytecznie i dlatego w skórze głowy znajdują się gruczoły, łój wydzielające, które robią włosy w miarę tłustymi. Masło na głowie, zwłaszcza w lecie jełczeje, drażni skórę i wydziela bardzo niemiły smród, a nadto sprzyja rozwijaniu się wszów. Zamiast smarowania masłem niesolonem, poradziłbym naszym kobietom, by przynajmniej raz w tygodniu zmywały sobie głowę i włosy naparem letnim z rumianku przy równoczesnem użyciu mydła, a następnie delikatnie, z początku rzadkim a potem gęstym grzebieniem uczesały włosy i przeczekały aż wyschną a następnie zaplotły.

W następnym artykule pomówimy o myciu się i kąpaniu w porach zimnych i ciepłych i o przepisach, które przy tem zachować należy, by zdrowiu nie zaszkodzić.

GŁOS DO LUDU POLSKIEGO.

Napisał

Piotr z Krakowa.

Do której tylko wsi wstąpić, wszędzie słychać narzekanie na biedę, złe czasy, nędzę i inne dolegliwości. Lud nasz skarży się na przeróżne klęski i nieszczęścia, a radzić sobie nie umie. A przecież wiele złego dałoby się usunąć przy dobrej chęci i woli.

Powiadacie moi kochani, że jest bieda i nędza u was, ale w niedzielę lub nieraz nawet w dzień roboczy widzi się gospodarzy w karczmie u żyda pijących gorzałkę. Jest u nas bieda i nędza, ale gospodarze sami ją u siebie zakorzenili, a dlatego, bo się ciągle między sobą procesują. Oto dwie główne przyczyny naszej ludowej niedoli. A więc pomówmy o nich.

Że wódka jest rzeczywistą przyczyną nędzy i biedy powszechnej, wiecie dobrze z artykułów, które w bieżącym roku *Przodownica* umieszczała. Ale druga przyczyna złego, tj. procesy — są też niemniej ważne, o nich więc wam dziś mówić będę.

Różne są na wsi procesy, a mianowicie:

1) procesy o niewdzięczność dzieci, obdarowanych przez rodziców, czyli o odwołanie darowizny;

2) procesy o grunta spadkowe;
3) procesy o naruszenie w posiadaniu;
4) różne inne procesy cywilne i karne.

I. Proces o niewdzięczność dzieci obdarowanych przez rodziców, czyli o odwołanie darowizny.

Na pierwszem miejscu położyłem ten proces, jako najpoważniejszy a często najkosztowniejszy. Zdarza się, że ojciec posiadający 2 lub 3 morgi gruntu, a mający dwoje dzieci, syna i córkę i będąc już w podeszłym wieku, czyni tak zwany akt darowizny, a to w następujący sposób; daje np. synowi cały swój dobytek, a córce każe spłacić jej część w gotówce, albo przeciwnie, daje córce dobytek, a synowi zapewnia spłatę. Sobie i żonie zastrzega tak zwane dożywocie, czyli utrzymanie dla rodziców do śmierci.

A jak potem dzieci utrzymują swych rodziców, to czytelnicy może z doświadczenia dobrze wiedzą, bo pewnie i u was we wsi macie tego liczne przykłady.

Ale nie na tem koniec. Rodzice, którzy takie dożywocie sobie zastrzegli, są najczęściej jak najgorzej przez dzieci uważani, a nawet nieraz bici, ztąd wynikają rozliczne spory sądowe, bądźto karne, bądź cywilne. A czy to potrzebne? Otóż w końcu rodzice zmuszeni są skarżyć dziecko swe, które zapomniało dobrodziejstwa rodziców i prawować się o odwołanie tego aktu darowizny, z powodu niewdzięczności dzieci. Rozważcie teraz kochani czytelnicy, co to kosztuje taka sprawa.

Rodzice posiadający grunt na wsi i dom, mogli go nabyć dwojako, jużto przez kupno, lub w drodze spadku po swych rodzicach, i tak czy owak musieli opłacić należytość skarbową rządowi od tego gruntu; dając go swym dzieciom znów opłacają należytość rządową od tej darowizny.

Zaś procesując się teraz z dziećmi o odwołanie darowizny znów wydają na skargi, stemple, należytości świadków, należytości od wyroku, czyli od wartości tego majątku, a suma tych wydatków nieledwie że jest taką, jaką jest wartość darowanego dobytku.

Zastanawiajcie się wszyscy nad tem marnotrawstwem, bo inaczej nędza i bieda zawsze was ścigać będzie.

Ale darowizna może być dwojaką, a mianowicie: jako darowizna zwykła, odbywa się ona jak powyż podałem, i darowizna przedślubna, czyli intercyza. Ta ostatnia odbywa się wtedy, gdy rodzice dają grunt dziecku, jako posag, w chwili odbyć się mającego ślubu.

W drugim wypadku w razie niewdzięczności dzieci sprawę, mimo skargi sądowej się przegra, gdyż rodzice dali dziecku grunt jako posag, nie jako zwykłą darowiznę.

Najlepiej tedy, gdy rodzice nie są pewni, że dzieci w przyszłości będą ich szanowały, aby z darowiznami się wstrzymali, aż do czasu śmierci i dopiero testamentem przedśmiertnym zapisy czynili. Na to mi ktoś z was powie, żeby w takim razie zbyt długo dzieci czekać musiały i że im się dorobić łatwiej na darowanym gruncie. O bodaj to tak prawdą było, lecz niestety dzieje się przeciwnie. A jakie są przyczyny tego?

Oto takie. Na świecie obecnie większa część małżeństw zawieraną bywa z wyrachowania, zamiast z prawdziwej miłości. Więc gdy się małżonkowie nie dobiorą, lub gdy które z nich mniej na wiano dostanie, niż obiecywano, swary i kłótnie wynikają, a te prowadzą do obrazy boskiej i prawowań się sądowych. I oczywista ztąd bieda — zły przykład i zgorszenie, a majątkowe straty i kłopoty płyną.

II. Procesy o grunta spadkowe.

Zdarzył się raz we wsi taki wypadek. Zamożny gospodarz zachorował, a miał pięcioro dzieci, 3 synów i 2 córki, syn i dwie córki były pełnoletni, a nawet żonaci. Póki ojciec żył, to wszyscy jako tako zgodnie z sobą żyli, ale gdy ojciec umarł, wybuchła niezgoda, bo nieboszczyk zostawił testament, w którym każde z dzieci obdarował według swej woli. I tak, ponieważ syn i dwie córki przy wyjściu do ślubu podostawali gotówką jakiś grosz, teraz w testamencie zapisał im ojciec mniejszy udział w spadku, a większy dla młodszych synów, którzy nic nie otrzymali.

Każdy powie, że słusznie ojciec uczynił; niestety dzieci jego nie zgodziły się na ten zapis, i rozpoczął się proces drojga starszych dzieci przeciw dwom małoletnim synom o unieważnienie testamentu.

Proces ten trwał 5 lat i tak się skończył, że troje starszych otrzymali po 1 mordze gruntu, a resztę wzięto za koszta, część żydy za pożyczone pieniądze na proces wydane, a częścią adwokaci za koszta procesu.

O bracia i siostry! kochajcie się, jako z jednej krwi pochodzący i nie róbcie niesnasków między sobą, bo przyprowadzą was zawsze do biedy i nędzy.

III. Procesy o naruszenie w posiadaniu.

Jeżeli ktoś komu zaorze kawałek gruntu, lub postawi płot na obcym gruncie, nazywa się to naruszeniem kogoś w posiadaniu. Poszkodowany ma prawo do skargi o to naruszenie.

Sama wiara katolicka uczy nas, że grzechem jest brać rzecz nie swoją, bo powiedzcie sami, kochani czytelnicy, co pomoże takiemu naruszającemu 1 lub 2 zagony więcej, które sąsiadowi zaorze, kawałek taki, na którym bydło swe pasie, lub kawałek gruntu na którym płot postawi. Nic, ani bogatszym nie będzie, ani pożytku mu to nie przyniesie.

Kiedy byłem w sądzie, był taki spór. Jeden go-



ARTUR GROTTGER.

spodarz zaorał drugiemu 2 zagony: poszkodowany zaskarżył go o to do sądu. Po wydaniu wyroku przyszło mu płacić koszta procesu 27 złr. Atoli przeciwnik nie miał gotówki, bo to było na wiosnę, więc odbyła się egzekucya na ruchomości i na grunt.

Egzekucya na ruchomości nie odniosła skutku, lecz nastąpiła intabulacya wierzytelności na gruncie, potem oszacowanie, aż doszło do licytacyi gruntu i domostwa, gdyż koszta wynosiły łączną sumę 69 złr. 50 ct. Nikt nie chciał pożyczyć, a więc sprzedano domostwo i grunt za 200 złr. żydowi.

Nie chce się może komu wierzyć, ale akta sądowe by nas o tem przekonały. Otóż widzicie, z tak błahego powodu do czego doszło. Do biedy i nędzy.

IV. Procesy o współwłasność.

Kiedy jaki gospodarz umrze, pozostawiając po sobie potomstwo, wtedy sąd po przeprowadzeniu spadku wydaje dekret dziedzictwa; po prawomocności onego następuje intabulacya spadkobierców za właścicieli pozostałego majątku. W miarę pozostałych spadkobierców, czy to 4 czy 5 lub więcej, następuje intabulacya, mocą której każdy zaintabulowany zostaje właścicielem $^1/_4$ lub $^1/_5$ i t. p. części tego majątku.

Sąd atoli nie wydziela żadnemu ze spadkobierców części majątku, lecz na to trzeba osobnej umowy czyli tak zwanego działu spadkowego, który należy robić u sędziego, spadek przeprowadzającego lub u notaryusza.

W wielu wypadkach jest najczęściej inaczej, a tu znowu niezgoda rujnuje cały majątek. I tak: pozostali spadkobiercy nie chcą się zgodzić na pomiar sądowy, tylko się kłócą, ten chce to pole, drugi także to i tak bez końca, w końcu przychodzi do procesu. Jeden ze spadkobierców wytacza proces przeciw reszcie o zniesienie tej współwłasności realności spadkowej, przez licytacyą tejże. Naturalnie proces się ciągnie. rosną koszta, sąd wydaje wyrok, a pozwani, siostry i bracia skarżącego, muszą mu koszta zwrócić, a dom i grunt na licytacyi idzie najczęściej na własność żyda.

Oj kochany czytelniku! czy to nie żal, jak ojcowiznę sprzedają, gdzie się wychowaliście z ojca, z dziada, a czasem z pradziada!

Czyście zapomnieli, że:

„Tej świętej ojcowizny macie aż do zgonu bronić,
„Nic z niej nigdy nawet myślą nie uronić!“

A wy jak robicie? nie wiecie wy co to znaczy ta ziemia polska, krwią ojców naszych zroszona, ta ziemia święta i błogosławiona.

V. Różne inne procesy cywilne i karne.

Oprócz podanych powyż są jeszcze inne procesy, drobne na pozór, a wyrządzające szkodę znaczną na majątku. Cywilne procesy są o zapłatę lub odrobienie czy to w polu czy gdzieindziej. Otóż trzeba najętemu do pracy, lub do służby parobkowi lub dziewczynie sumiennie zapłacić, co im się należy, nie wyzyskując nikogo, bo choć takie procesy są na pozór błahe, a jednak, przynoszą uszczerbek moralny i materyalny krzywdzicielowi. Co do karnych procesów, to te wynikają najczęściej z pobicia, z zabójstwa lub podpalenia, które to zbrodnie najczęściej popełnia lud pod wpływem wódki lub podmowy złych doradców.

VI. O doradcach procesowych wiejskich.

Gdy przyjdziesz bracie do Krakowa, na Mały Rynek, ulicę Sienną, Stolarską, Plac Szczepański lub na Kleparz, i wejdziesz do szynku, czy to żydowskiego czy nawet katolickiego, a zaczniesz mówić z kolegą o jakimś procesie, to zaraz nawinie ci się jakiś doradca prawny, a ten zacznie cię zaraz namawiać do podania do sądu skargi.

U nas niestety nietylko w Krakowie, ale w całej Galicyi po większych i mniejszych miastach snuje się mnóstwo pokątnych doradców prawnych, którzy jak pijawka ssą wasze kieszenia. Czytelnicy strzeżcie się ich, i innych o nich przestrzegajcie, bo to są zgubne żywioły. Taki doradca pisze nieraz wieśniakowi skargę za 50 ct. i szklankę piwa lub kieliszek wódki w dodatku, a to się zdaje tanio. A jaka z tej skargi korzyść? najprzód że napisze najczęściej źle, i z tego powodu spór przegrać można, a nadto nie da stempli, mimo że nieraz bierze na nie pieniądze, ztąd drugi raz podwójnie karę trza płacić.

Często taki doradca radzi obu stronom skrycie i ciągnie zyski z obu stron.

Strzeżcie się ich więc a to tembardziej, że nowa ustawa przepisuje, że w sądach protokolarnie można wnieść skargi bezpłatnie, opłacając tylko stemple.

Ul i jego mieszkańcy.

(Ciąg dalszy).

Pszczoły żyją gromadnie.

Kilkadziesiąt (20—30) tysięcy pszczół, przebywających w jednym ulu, stanowi rodzinę. Jak w chatach rodziny ludzkie, tak w ulu osady pszczelne składają się z matki i dzieci. Rodzinę pszczelną nazywamy rojem.

W roju jest jedna matka, kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy jej córek czyli pszczółek-robotnic i kilkaset samców, zwanych trutniami albo trutami.

Matka jest większą od zwykłej pszczoły roboczej znanej wszystkim, nieco grubszą, a o wiele dłuższą. Wprawne oko pasiecznika potrafi odróżnić ją wnet, choćby w jakiej masie pszczół po charakterystycznym połysku, majestatycznych ruchach i takimże wyglądzie. To ostatnie zjednało jej nawet nazwę królowy roju. Matka jest w całym ulu należycie rozwiniętą samicą, dającą życie wszystkim pszczołom osady. W zbudowane misternie woskowe komórki, jakby gniazdeczka składa ona po jednem maleńkiem jajeczku, podobnem do odrobiny białej nitki. Z jajeczek tych wygrzewają pszczoły młode pokolenie. Po trzech dniach wykłuwa się z jajeczka maleńka gąsieniczka (robaczek), którą pszczoły żywią bardzo troskliwie. Za pięć dni gąsieniczka podrasta znacznie, a wtedy pszczoły zasklepiają nad nią jej komórkę, w której siedzi teraz jakby w koszu. W zamknięciu tem jednak nie ustaje ni życie, ni dalszy rozwój gąsieniczki; owszem odbywają się tam szczególne zmiany. Najpierw z robaczka białego tworzy się oprzędzona poczwarka, ta przemienia się w łątkę, w której można dopatrzeć się już kształtu pszczoły, a wreszcie po kilku dniach tworzy się doskonały owad, mający już tyle siły, że przegryza wieczko komórki i wychodzi na świat boży.

Takim przemianom ulegają wszystkie gąsieniczki tak matki, jak robotnic i trutów. Młoda matka od chwili zniesienia na nią jajka opuszcza komórkę po 15-tu dniach.

Matka pszczelna raz w życiu w tydzień po swych narodzinach w porze południowej wylatuje z ula na gody weselne. Spotkawszy się w powietrzu z trutem wraca do ula zapłodniona i już więcej nigdy z niego nie wychodzi, z wyjątkiem czasu rójki, kiedy zmuszoną jest przeprowadzić się na inne mieszkanie, o czem później. Taka matka może teraz dowolnie składać jajeczka zapłodnione na robotnice lub niezapłodnione na truty. Niesienie jajeczek nazywamy w języku pszczelarzy c z e r w i e n i e m, a wykłute z nich robaczki c z e r w e m. Matka czerwi wedle swej woli, ona też jeżeli zechce może złożyć w przysposobioną przez pszczoły woskową kolebkę, podobną do miseczki żołędzi, jajeczko na następczynię swą, młodą królewnę. Matka niezapłodniona z jakiej bądź przyczyny, niesie jajeczka, ale tylko na truty i wtedy zowie się t r u t o w ą.

Każda matka posiada żądło podobnie jak robotnice, nie ukłuje nim jednak nikogo, choćby jak męczona lub napastowana. Broni tej używa tylko w walce z godną siebie rywalką, to jest z drugą matką.

Matka żyje najdłużej ze wszystkich pszczół. Dochodzi ona do pięciu lat wieku, w drugim i trzecim roku życia jest najpłodniejszą i najobficiej czerwi.

Pszczoły otaczają swoją królowę-matkę największym szacunkiem, troskliwością i opieką. Same ją karmią umyślnie przyrządzonem dla niej mleczkiem i najczyściejszym miodem. Towarzyszą jej na każdym kroku i służą na każde skinienie. W koło niej tworzą jakby straż przyboczną, która gotowa każdej chwili ukarać rękę sięgającą po matkę, choćby obronę tę i życiem przypłacić wypadło. Dla niej, w razie wyczerpania się zapasów w ulu w porze zimowej, pozostawiają ostatnie krople miodu, a same giną w jej oczach śmiercią głodową. O! jakżeż te małe nieme stworzeńka kochają swą rodzicielkę!

R o b o t n i c e lęgną się z jajeczek zapłodnionych w komórkach małych zwanych pszczelnemi. W dwudziestym pierwszym dniu, licząc od chwili zniesienia jajka, wychodzi z komórki młodziutka pszczółka, aby rozpocząć żywot pełny poświęcenia, znoju i pracy. Z początku wątła robotniczka niezdolna do lotu pomaga innym pszczołom przy robocie w ulu; wygrzewa swe młodsze siostrzyczki, przyrządza mleczko i papką z miodu i pyłku kwiatowego, karmi tem gąsieniczki, oczyszcza komórki stare, buduje nowe, usługuje matce itp. Zmężniawszy i poczuwszy w skrzydełkach siłę do lotu, wychodzi przed oczko ula, rozgląda się po prześlicznym zielonym przestworzu — a zwabiona zapachem kwiatów i brzękiem starszych robotnic, ulatuje w powietrze.

Najpierw zatacza przed ulem coraz szersze koła, następnie nad pasieką, a zapamiętawszy sobie dobrze ul, miejsce i okolicę leci w pole za pożytkiem. Dzieje się to zwykle po tygodniu od wyjścia pszczoły z komórki.

Robotnice znoszą do ula miód, pyłek kwiatowy czyli p e r h ę, kit i wodę.

Miód zbierają po kwiatach traw, ziół i drzew, wyssysając go długą trąbką. Najlepszy jest miód zebrany z kwiatu lipy i esparsety; dalej miód z kwiatów drzew owocowych, potem miód z akacyi, a najpośledniejszy miód z wrzosu. Oprócz tego zbierają pszczoły miód po liściach i łodygach roślin w czasie s p a d z i czyli s p a d k u, jak gdzieniegdzie mówią.

Po dniu gorącym i parnym, gdy nastąpi chłodna noc, wtedy rośliny i drzewa, nie mogąc wyparować nadmiaru naciągniętej wody, wysączają ją otworami liści i łodyg, a z nią wydzielają też cukier — to nazywamy spadzią.

Nie gardzą też żadną inną słodyczą, ale zbierają chętnie wszystko, co słodkie i znoszą do ula.

Tu składają miód w komórki woszczyny, pełne komórki zasklepiają wieczkiem z wosku, aby go uchronić od zbytecznego parowania lub nasiąkania wilgocią.

Tak zakryty miód nazywamy szytym. Silny rój pszczół może w jednym dniu uzbierać do kilkunastu funtów miodu, jeśli w polu jest pożytek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z chowu królików.

We Francyi chów królików na wielką skalę się odbywa, bądź to dla mięsa, bądź dla sierści tych zwierząt, która do wyrabiania kapeluszy jest potrzebną. Z Belgii całe okręty naładowane zabitymi królikami wychodzą do Londynu, które prosto z okrętów przez tamtejszych mieszkańców na spożycie się zakupuje. Nawóz królików jest silny, a dostarczają go dużo. Dosyć więc, zdaje się jest powodów, aby hodowla królików i w naszym kraju mogła być korzystną.

Wspomnijmy tylko na te tysiące ludzi, którym nie starczy na kupno mięsa częściej, jak kilka razy do roku, hodowla więc tych zwierząt przez nich i dla nich prowadzona, byłaby dobrodziejstwem prawdziwem.

Króliki zwykle zabija się w wieku czterech miesięcy zapomocą przecięcia żył szyjnych, a wypas ich trwa zaledwie 8, 10 do 12 dni w ciemności, często w beczce przykrytej lekko denkiem. Pasie się je namoczonemi otrębami pszennemi, owsem albo jęczmieniem, dodając w małych dozach pachnących ziół. Utuczone zwierzę dochodzi w przecięciu siedmiu funtów żywej wagi. Naturalnie, że nie o owych różnokolorowych królikach tu mowa, które u nas napotykamy, lecz o królikach podobnych do zajęcy.

W hodowli królików jak największa czystość jest pierwszym warunkiem, dlatego też stajenki codzień powinno się czyścić i wysypywać sieczką.

We Francyi, gdzie wszyscy ogrodnicy i wielu włościan zajmuje się hodowlą królików, są stajenki dla nich 18 stóp długie, a szerokie dwie i pół stóp, wysokość zaś stajenki wynosi dziewięć i pół stóp. Budowane są powszechnie z surowych cegieł lub drzewa, a umieszczone przy południowej stronie większych budynków. Każdy z tych maluśkich domków zawiera trzy piętra i cztery stajenki. Dla ścieku wilgoci, podłoga w stajence ma dwa cale na spadek w jednym kierunku, a w jednej ścianie znajdują się drzwi na jednę stopę szerokie i dwie stopy wysokie z gęstej siatki drucianej.

Parzenie odbywa się w ten sposób, iż w końcu kwietnia do stajenki samca wpuszcza się na parę dni samiczkę, a w sześć tygogni rodzą się młode, z których najwyżej 6 do 8 sztuk zostawia się do chowu, resztę trzeba zabić.

We 4 do 5 tygodni po urodzeniu młodych, dopuszcza się matki do samców, a we 2 do 3 tygodnie potem odsadza się dzieci od nich, odłączając samce od samic. Samce na wypas przeznaczone miszy się, co bez trudności i niebezpieczeństwa się znów odbywa. Takim sposobem co roku 3 do 4 rzutów od każdej matki przybywa hodowcy.

Zwierzęta rodne, które zazwyczaj 2 do 3 lat się trzymają, w zimie pasą się wszelkiego rodzaju odpadkami, a nawet sianem, szczególnie z esparcety, a poi się je czystą i zawsze świeżą wodą.

Na wiosnę podczas grzania się, daje się obu płci rozpłodnikom małą ilość owsa albo jęczmienia; resztę karmy stanowią odpadki z kuchni, ogrodu i pola, a wystrzegać się tylko potrzeba, aby króliki nie dopadły sałaty, którą chciwie wprawdzie pożerają, lecz która bardzo im szkodzi.

Królik między domowemi zwierzętami jest wprawdzie największym żarłokiem, ale też najprędzej i najlepiej wynagradzającym spotrzebowaną karmę zwierzęciem, bo prędko rośnie i może być użytym czy to na pokarm, czy też jako artykuł zyskownego handlu.

Uprawa truskawek.

Użyteczność truskawek.

Do liczby roślin ogrodowych, najbardziej pożytecznych, bezwarunkowo należą truskawki. Żałować tylko potrzeba, że uprawa ich u nas jest bardzo zaniedbaną, a nawet i w tym stanie nadzwyczaj mało rozpowszechnioną. Wyjątek stanowią poniekąd okolice

podmiejskie, np. pod Krakowem, chociaż i tu dowóz na targi nie odpowiada zapotrzebowaniom, wskutek tego są drogie i dostępne tylko ludziom zamożnym; ludność uboższa nie może pozwolić sobie na ten zbytek, nie mówiąc już o ludności wiejskiej, wśród której większość zna truskawki tylko z nazwy, a o tem, jak one smakują, jak są pożyteczne i jak się je uprawia, i pojęcia nie mają. Wprawdzie, można powiedzieć, że w każdym dworku szlacheckim znajdzie się po parę grządek tej rośliny, lecz korzyści z tego nawet dla domu prawie żadnych, bo uprawiane są licho. Szkoda wielka, że tak jest i dlatego należy dążyć do jak największego rozpowszechnienia prawidłowej uprawy tych owoców, ażeby one stały się dostępne nawet dla najbiedniejszych, a przyjść to może łatwo, bo gdyby ceny truskawek spadły nawet więcej niż o połowę od dotychczasowych, to i wówczas dochód z nich byłby znakomity, większy nawet, niż z warzyw pospolitszych. Są kraje, gdzie truskawki stanowią rzeczywiście „owoc ludowy", np. Ameryka północna. Uprawia się tam truskawki na ogromnych przestrzeniach, a dowóz do miast bywa wprost olbrzymi, o jakim my pojęcia nie mamy. Tak np. pewnego dnia (w r. 1898) przywieziono wodą na targ w Chikago 19.000 buszli czyli 912.000 kwart truskawek, a na inne targi tegoż dnia 73 wagony, mieszczące 782.400 kwart. W Nowym Jorku podczas największego dowozu bywa na targach do 3 milionów kwart truskawek — ilość niesłychana! Sam tylko stan Hilton posyła co noc na furmankach do miasta do 1,300.000 kwart. Ilości te spożywa się wprost na surowo lub przerabia się w fabrykach na konserwy. Cena w tym czasie bywa nadzwyczaj niską, około 10—15 centów za kwartę, a więc dostępna dla wszystkich, a tymczasem hodowcy cieszą się jeszcze dobrym zyskiem i poświęcają całe folwarki pod uprawę truskawek. Tam więc owoc ten nie jest przysmakiem dla ludzi bogatych, lecz chlebem powszednim dla całej ludności.

Owoce truskawek są zdrowe, smaczne, orzeźwiające, o zapachu bardzo przyjemnym i nawet pożywne. Zawierają bowiem w sobie cukier, ciała białkowe, kwasy wolne, pektynę i pod tym względem wśród wszelkich owoców zajmują miejsce drugie; na pierwszem stoją jabłka.

Owoce truskawek spożywa się głównie na surowo bez żadnego dodatku lub z mlekiem odgotowanem i ostudzonem lub też ze śmietanką; niektórzy dodają cukru wedle upodobania. Prócz tego z truskawek robią soki, konfitury, marmoladę, konserwy, kompoty i wreszcie je suszą. Sybiracy np. suszą truskawki w piecach po chlebie i używają w zimie jako okrasę do pierogów; suszone truskawki tracą swój zapach. Z liści truskawkowych ususzonych przygotowuje się pewnego rodzaju surogat herbaty, który służy w całości jako dodatek do herbaty prawdziwej, zdrowy, tani i smaczny.

Poza tem truskawka posiada nawet pewne własności lecznicze, chociaż wartości wielkiej temu się nie nadaje, wartość główna leży w pożywności tego szlachetnego owocu.

Uprawiać truskawki warto i należy w ilości jak największej, bo przez to przyczynić się można do podniesienia dobrobytu w kraju, dać wielu rodzinom szlachetny środek do bytu, a ogółowi urozmaicić pokarm powszedni.

W pogadance niniejszej opiszemy najprostszy sposób uprawy truskawek w gruncie, pomijając np. hodowlę przyspieszoną w skrzyniach, w inspekcie, w szklarni itp. Uwzględnimy przytem głównie stronę handlową tej uprawy.

Wybór miejsca i gruntu.

Dla truskawek należy wybierać miejsce nieco osłonięte (las, wzgórza, zabudowania, parkan itp.) od zimnych wiatrów, wystawione przez większą część dnia na działanie słońca, najlepiej równe, płaskie. Z miejsc pochylonych najlepsze południowo-wschodnie lub południowo-zachodnie; na miejscach skwarnych truskawki cierpią od suszy, a chociaż owoce dojrzewają o jakiś tydzień wcześniej i są słodsze, lecz za to małe i niedokształcone, a i zbiór ich bywa mniejszy. Samo położenie musi być otwarte lub lekko ocienione drzewami np. w sadzie młodym, przewiewne.

Udają się w gruncie każdym, najlepiej wszakże w gliniasto-piaszczystym, glinkowatym, piaszczysto-gliniastym, mułkowatym, czarnoziemnym, pulchnym i wilgotnym. Grunt piaszczysty nie nadaje się wcale, bo prędko wysycha; zbytnia wilgoć (grunt mokry) też jest szkodliwą. Na gruntach iłowatych, pękających truskawki bywają wysadzane w zimie przez mróz, wskutek czego korzenie ich przemarzają. Toż samo się dzieje, gdy truskawski rosną na grzędach wysokich.

Przygotowanie gruntu.

Kawałek gruntu, przeznaczony pod truskawki, przedewszystkiem należy doskonale oczyścić z chwastów zwłaszcza trwałych (perz, oset, mlecz, powój itp.). Dlatego najwłaściwiej jest przez 1 lub 2 lata przedtem uprawiać na nim takie rośliny, które grunt oczyszczają i wymagają częstego wspulchnienia, np. ziemniaki, kapusta, ogórki, groch. Żeby dobrze zrodziły, truskawki potrzebują bardzo dużo pożywienia, należy przeto grunt pod nie nawieść obficie, inaczej plony będą marne. Nawozu nie żałować, zwróci się to sowicie. Gnój wywozić trzeba w jesieni i rozrzucić go równomiernie, daje się go najmniej 30 fur parokonnych na 1 mórg. Jeżeli obornika nie ma w tak znacznej ilości, to dopełnić można nawozami handlo-

wymi (np. 2—3 cetnary kainitu i 3—4 cetnarów superfosfatu) lub kompostem, popiołem (zamiast kainitu). Nawóz oborny i kompost zaorać płytko, a handlowy lekko zawłóczyć broną. Na wiosnę tenże kawałek przeorać w poprzek jak najgłębiej, poczem wywłóczyć i zabronować. Wybornie jest, jeżeli w zimie lub wcześnie na wiosnę, przed orką jeszcze, rozleje się po całej powierzchni gnojówkę lub mocz silnie rozcieńczony. Na tak przygotowanej ziemi urządza się zagony na 1·20 szerokie z 30-centymetrowemi bróździami i sadzi się rozsadę truskawek. Uprawiając w większych ilościach np. na sprzedaż, lepiej jest sadzić truskawki w linie na powierzchni wyrównanej bez zagonów. Co do zagonów, to te muszą być płaskie zupełnie jak powierzchnia stołu, nie zaś wypukłe, jak to zwykle widzi się po wsiach. Błąd to wielki, bo takie zagony przesychają rychło, nierówno się ogrzewają, nie zatrzymują wilgoci i plon zbiera się gorszy. Brózd też nie trzeba wybierać łopatą, ani wyorywać, lecz wprost koło wyciągniętego sznura wydeptać. Tak będzie najlepiej.

Chociaż wiosenne sadzenie jest równie dobrem, jednak częściej sadzi się truskawki na jesieni, w sierpniu i we wrześniu, ponieważ wtedy łatwiej jest o dobrą rozsadę. W tym wypadku przy wyżej opisanym przygotowaniu gruntu daje się nieco mniej obornika, a przez następne lato uprawia się takie rośliny, które już pod koniec lipca mogą być zebrane, np. ziemniaki wczesne, groch wczesny, kapusta janówka, wreszcie wyka, a na gruncie, ubogim w próchnicę, łubin. Po zbiorze tych roślin trzeba jeszcze raz położyć nawozu w mniejszej ilości lub zlać ziemię nawozem płynnym, poczem zaorać głęboko i zbronować starannie. Wykonać to przed samem sadzeniem truskawek, bo trzeba je sadzić tylko w grunt świeży, wilgotny jeszcze. Dodać należy, że jeżeli truskawki uprawia się w małej ilości, np. kilka zagonów, głównie dla swego użytku, a resztę na sprzedaż, to oranie zastąpić można przekopywaniem łopatami, a bronowanie — grabieniem.

Rozmnażanie.

Każdy krzak truskawkowy wypuszcza od siebie w wielkiej ilości rozłogi, zwane wąsami. Są to ścielące się długie, cienkie jak szpagat nitki, na których w pewnych odległościach znajdują się kępki liści, a pod nimi z drugiej strony korzonki. Kępki takie same się zakorzeniają w ziemi i z nich powstają nowe rośliny. Wiedząc o tem, łatwo można namnożyć sobie rozsady w pożądanej ilości. Należy tylko na początek zakupić po parę kóp różnych truskawek, a następnie u siebie przygotować jej tyle, ile potrzeba na obsadzenie przeznaczonego na to kawałka. Nie radzimy zakupywać jej odrazu, ile potrzeba dla dużej przestrzeni, bo wtedy drogo kosztuje i dużo przepada.

Główna rzecz, mieć do sadzenia rozsadę silną. Mając w tym celu sprowadzone i posadzone t. zw. matki, potrzeba z pierwszych wąsów, jakie się pojawiają na wiosnę, wybierać te kępki liści, czyli rozetki, które się znajdują najbliżej samego krzaczka, poprzypinać do ziemi za pomocą haczyków drewnianych, np. z miotły, nie odrywając od krzaczka macierzystego, resztę wąsa obciąć, jeżeli wąs się rozwidla, to z niego można przypiąć dwie rozetki. W ten sposób z każdego krzaka da się otrzymać kilkanaście nowych roślinek. Pamiętać jednak potrzeba, że przed przypinaniem wąsów, ziemia powinna być oczyszczona z chwastów i spulchniona motyczką, żeby młode, delikatne korzonki rozetek odrazu znalazły się w ziemi pulchnej i wilgotnej. Dobrze jest zaraz podlać, a całą powierzchnię ziemi pomiędzy roślinkami wyłożyć gnojem, żeby utrzymać wilgoć i wnieść trochę pożywienia. Wszystkie rozłogi, jakie się później ukazywać będą, należy odcinać, aby nie osłabiać samej rozsady. Rozsada, tak przygotowana na wiosnę lub w lecie, będzie już bardzo dobrą do sadzenia na miejsce stałe tegoż roku w sierpniu i we wrześniu lub na wiosnę roku następnego. Chcąc mieć odrazu większą ilość rozsady, gdy matczynych roślin jest mało, można odcinać wszystkie wąsy i wszystkie na nich będące rozetki, choćby najmniejsze, rozsadzać osobno na grządce nadzwyczaj starannie doprawionej i przygotowanej, jak pod rozsadę, potem starannie podlewać, dopóki się dobrze nie przyjmie. Sadzić w takim razie potrzeba w 6 linij na grządce a na linii co 15—20 centymetrów. Rozsada z tego będzie cokolwiek słabsza i w pierwszym roku da mniejszy urodzaj. Gdy już się ma zaprowadzoną hodowlę truskawek na owoce, kłopotu z rozsadą nigdy nie będzie. Należy tylko z roślin dwuletnich odłożyć rozłogów tyle, ile potrzeba, jak wyżej, resztę usuwać starannie.

Sadzenie i pielęgnowanie.

Wiemy już, że truskawki można sadzić na wiosnę, mianowicie w kwietniu, a nawet w początku maja, lub w jesieni w sierpniu i we wrześniu, jak komu dogodniej. Przy wczesnem sadzeniu sierpniowem trafia się niekiedy susza, wtedy dużo roślin ginie i potrzeba je dosadzać na nowo. Sadzi się rośliny w grunt świeżo przygotowany, dopóki on jest wilgotny. Jeżeli się truskawek uprawia nie wiele, to sadzi się je zwykle na zagonkach, ugrabionych i wyrównanych starannie. Za pomocą sznura lub znacznika ręcznego przeprowadza się wzdłuż zagonu 3 dla odmian słabszych a 4 linie dla odmian silnych i na tych liniach sadzi się rozsadę co 50 ctm. na „mijaka“ czyli w piątkę.

Zaprowadzając wielką truskawczarnię, lepiej jest sądzić na równej powierzchni bez zagonów, w tym razie należy znacznikiem (lub sznurem) porobić linie

odległe od siebie na 75 centymetrów i na tych liniach sadzić co 40 ctm. roślinkę od roślinki.

Samo sadzenie truskawek należy wykonać bardzo starannie, żeby korzonków nie zawijać do góry, a obcisnąć mocno zwłaszcza spodem. Najprościej robić to rękami, przyczem prawą ręką robi się odpowiednio duży dołek, a lewą sadzi się roślinę, poczem obydwiema rękami mocno obciska się je starannie. Najlepiej gdy się ma rozsadę swoją, wtedy można ją mieć z bryłkami; za długie korzonki obcina się nożem, tak samo usuwa się i liście martwe. Czas do sadzenia wybrać pochmurny, a w razie ostatecznym sadzić przed wieczorem. Po posadzeniu trzeba podlać i wyłożyć gnojem, podlanie powtórzyć parę razy (gdy susza), dopóki się nie przyjmą i nie zaczną wypuszczać nowych listków.

Starać się usilnie mieć dobrą rozsadę do sadzenia, im ta jest silniejszą i obficiej zakorzenioną, tem lepiej. Silna rozsada posadzona na wiosnę, wyda jeszcze tegoż roku plon niezły, a sadzona w jesieni wyda w roku następnym nawet bardzo obfity.

Z truskawkami, posadzonemi w jesieni i gdy one są wyłożone nawozem, nie ma nic do roboty aż do wiosny następnej, nie wyłożone gnojem należy przed zimą przemotykować lub przejść pielnikiem; następnie wysłać powierzchnię ziemi nawozem, na wiosnę nawóz ten przy pierwszem zaraz motykowaniu zakopie się w ziemię i będzie służył zasiłkiem. Można też w tym czasie posypać truskawczarnię popiołem i innymi nawozami kupnymi, a po okwitnieniu (w maju) podlać gnojówką rozcieńczoną w trzech czwartych częściach wodą, w braku gnojówki zlać chociażby samą wodą, jeżeli deszcz obfity nie uwolni od tego. Teraz postępowanie i z truskawkami sadzonemi na wiosnę będzie jednakowe. Gdy owoce zaczną już podrastać, podłożyć trzeba pod każdy krzaczek słomy rąbanej, albo też wysłać ziemię mchem, trocinami drzewnemi, igliwiem, żeby się owoce nie walały; robota ta jest bezwarunkowo konieczną. Owocowanie rozpoczyna się u nas zwykle około 10 czerwca i trwa przeszło miesiąc cały. Po skończonem owocowaniu należy truskawki oczyścić z zielska, ziemię spulchnić i podlać gnojówką dla zasilenia truskawek wycieńczonych owocowaniem. Wszystkie wychodzące w tym czasie rozłogi należy starannie wycinać nożem. Pielenie powtarza się następnie tyle razy, ile razy zielskiem zarosną, do czego dopuszczać nie można bez wielkiej szkody dla plonów.

W latach następnych pielęgnowanie będzie takie same, jak poprzednio, mianowicie na wiosnę przy pierwszem oczyszczaniu zakopuje się gnój, którym truskawki były wyłożone w jesieni, przed kwitnięciem podlewa się gnojówką, zasila się jeszcze raz po zebraniu owoców, a w dalszym ciągu oczyszcza się ziemię z chwastów i wycina wąsy, zostawiając ich tylko tyle, ile potrzeba dla rozmnażania; na jesień znów wyściela się gnojem, lepiej na wpół drobnym. Żadnej z tych róbót zaniedbywać nie należy; nie powinno to odstraszać, gdyż plony z truskawek w dziesięćkroć razy powetują.

Największy plon z truskawek zbiera się w roku drugim i trzecim, przy dobrem prowadzeniu niezgorszy jeszcze bywa i w czwartym, następuje potem coraz lichszy, dlatego też truskawczarni nie należy trzymać dłużej nad 3 do 4 lat, po upływie których przenosi się ją w inne miejsce.

Żeby więc stale corocznie zbierać obfite plony, potrzeba corocznie obsadzać pewien kawałek truskawkami, bo corocznie jeden kawałek truskawczarni wypadnie zaorywać i przeprowadzać na nim przez 2—3 lata uprawę jakichś innych roślin gospodarskich.

O szkodnikach truskawek można powiedzieć, że chociaż i są one, jednak nie tyle dotkliwe, żeby zachodziła wielka konieczność ich zwalczania; największe szkody sprawia długotrwała słota podczas owocowania, bo wtedy jagody gniją, a jeszcze większe szkody hodowla niedbała, kto na to nie chce się przygotować, niech ich nie sadzi wcale.

Zbiór.

Truskawki do użytku natychmiastowego zbiera się wtedy, gdy są zupełnie dojrzałe, t. j. całkowicie zabarwione, zaś do przesyłki zwłaszcza na znaczniejsze odległości, gdy zabarwienie nie wystąpiło jeszcze w całej pełni. Zbierać jagody należy wówczas, gdy na nich rosa obeschnie i przerwać w najgorętsze godziny południowe, najlepiej zaś czynić to po godzinie 4 popołudniu. Zebrane z rosą lub wkrótce po deszczu prędko się psują, zwłaszcza w drodze. Trzeba też pamiętać, że jest to owoc nadzwyczaj delikatny, więc wszelkie roboty przy nich wykonywać z możliwie największą troskliwością, tembardziej nie można je przesypywać ani układać na wielkie gromady, najmniejsze odgniecenie wywołuje gnicie.

Zbierać najlepiej odrazu w te naczynia, w których mają być wysłane na sprzedaż. Są do tego małe koszyczki płaskie, lekkie, elastyczne, np. ze słomy, z „sosyny“ (Typha, pałka wodna, roślina błotna, z której pospolicie robią torby dla gospodyń), bywają też z łuczywa cieniutkiego, z papieru kartonowego itp. Najodpowiedniejszy ich wymiar taki, żeby mieściły ściśle $^1/_2$ lub 1 kilogram owoców i owoce były ułożone w 2 lub 3 rzędy. W Krakowie największem powodzeniem mają koszyczki i „z sosyny“ o następujących wymiarach w świetle dla 1 kilogr. jagód: długość 24 centymetry, szerokość 16 ctm. głębokość 5 cm. Spód i brzegi koszyczka wykłada się liśćmi, a zbierający może ich mieć odrazu kilka przy sobie, wstawiając je do naumyślnie do tego sporządzonej podstawy z deski, zaopatrzonej w pałąk do no-

szenia. W tym wypadku przy zbieraniu można odrazu przebierać jagody na większe i mniejsze, co w handlu ma duże znacznie. Do wynoszenia na targ sporządza się odpowiednią ramę w rodzaju szafki ażurowej, bardzo lekkiej, zakrywanej płótnem lub ceratą. Przyrząd taki może być przystosowany, albo do noszenia na plecach (na pasach) lub w ręku. Do posyłania koleją żelazną, statkami, urządza się skrzynię, do której z góry wstawiają się jedna na drugą szufladki ramowe z jednym szeregiem koszyczków z truskawkami, tak koszyczki, jak szufladki wstawiają się ściśle i mocno, żeby się nie połamały. Najtrudniej jest przewozić truskawki na wozach końmi; w tym wypadku wóz powinien być resorowy, a paczki uwiązane przy drągu i obłożone słomą lub sianem.

Truskawki uzbierane wieczorem wysyła się na targi w nocy lub nad ranem, żeby stanąć tam, jak najwcześniej. — Jeden robotnik zebrać ich może w ciągu dnia około 20 kilogramów. Kobiety zbierające truskawki, muszą zachowywać ostrożność, ażeby swem ubraniem długiem nie psuły jagód; mężczyźni zanadto udeptują ziemię koło krzaczków, najwłaściwiej byłoby używać do tej roboty dzieci wyrostków.

Koszta uprawy i wydajność.

Szczegółowego obliczenia kosztów uprawy nie podajemy, bo to jest rzecz zbyt drobiazgowa, a przytem zależna od wielu bardzo warunków miejscowych, jako to: ceny ziemi, nawozu, robotnika itp. Wogóle wszakże można uważać, że koszt rocznego utrzymania 1 morga truskawczarni około 600 koron, wliczając w to i czwartą część tej kwoty, jaka będzie użyta na samo założenie truskawczarni w roku pierwszym, oraz odsetki od tej sumy. Z drugiej strony wszyscy hodowcy truskawek zgadzają się na to, że po otrąceniu wszelkich wydatków, najmniejszy czysty zysk z 1 morga wynosi rocznie 500 koron; przy starannnej hodowli i wiośnie sprzyjającej osięga się do 1.000 i więcej koron, czego żadna inna roślina wydać nie jest w stanie.

Odmiany.

Truskawki wielkoowocowe mają jagody bardzo rozmaite, liczy się je na setki. Jedne z nich są duże, inne małe, jedne dojrzewają wcześniej, inne znowu później, prócz tego różnią się kształtem, zabarwieniem, wytrzymałością na przesyłkę i na zimno, smakiem, zapachem, płodnością itd. Niezmiernie ważną jest rzeczą wybrać z nich tylko te odmiany, które są najlepsze pod każdym względem: nie można sadzić byle truskawkę, źle też uczyniliby i ci, którzyby nasadzili dużo różnych odmian. Najlepiej uprawiać ich zaledwie kilka 3 do 6, dobranych według pory dojrzewania od najwcześniejszych do najpóźniejszych, ażeby przez czas najdłuższy mieć je świeże; zwykle korzystniej się opłacają odmiany bardzo wczesne i bardzo późne, średnie mniej, bo wtedy jest ich najwięcej.

Stosownie do uwag powyższych najodpowiedniejsze dla nas, bo wypróbowane, są odmiany następujące:

N o b l a (*Laxton's Noble*), jagody bardzo duże, kuliste, szkarłatne; odmiana bardzo plenna; bardzo wczesna, wartościowa, chociaż mniej od innych smaczna.

Shorpless (czytaj Szarples), owoce bardzo duże, nieregularnie spłaszczone, niekiedy jak grzebień koguci; jasno czerwone, smaczne, przyjemnie pachnące, plenne, wytrzymałe, doskonałe na porę średnią. Roślina bardzo silna.

K r ó l A l b e r t *(König Albert von Sachsen)*, owoce nieregularne szeroko-okrągławe lub nerkowate, wiśniowo-czerwone z pomarańczowym, niezwykle duże, bardzo słodkie, aromatyczne, wytrzymałe; na porę średnią.

N a p o l e o n III. Jagody duże, krótko-stożkowe, jasno-czerwone, soczyste, pachnące. Na porę późną. Obawia się suszy.

A n a n a s o w a b i a ł a. Jagody średniej wielkości. okrągławe, białe lekko zaróżowione, bardzo słodkie, silnie pachnące, doskonałe na konfitury; plenność średnia. Późna lub średnio późna.

Z nowszych odmian doskonałą jest odmiana: Ś w. A n t o n i P a d e w s k i, owoc średniej wielkości lub duży, szkarłatny stożkowy, silnie pachnący. Rodzi aż do jesieni, pod tym względem jest jedyną.

Karol Jakimionek.

ROZMAITOŚCI.

Burze i niepogody. Na całym Ślązku austryackim i we wschodnich powiatach Moraw srożyły się burze W wielu miejscach spadł grad. Również ze Ślązka Górnego (pruskiego) dochodzą wiadomości o nawałnicach.

Na Węgrzech poczynił grad w wielu miejscowościach znaczne szkody, zwłaszcza w winnicach i drzewach owocowych. Gdzieniegdzie grad dochodził do wielkości orzechów, a nawet jaj kurzych. W Ittebe padał przez 10 minut i utworzył tak grubą powłokę, że musiano ją z pól zgarnywać.

W południowym Tyrolu poczynił grad wielkie szkody, zwłaszcza w winnicach.

Straszna burza nawiedziła okolice nad Wisłą, mianowicie Kwidzyń i jego strony (Prusy Zach.). Ulice miasta, położonego dosyć wysoko na stoku pagórków, zalane na wysokość metra. Jeden duży

dom zapadł się częściowo. W nadwiślańskich nizinach pod Kwidzynem wszystko pod wodą. Ponieważ skutkiem przerwania plantu kolejowego nie można było wezwać z Grudziądza pomocy wojskowej, więc ją wezwano aż z Gdańska. Dwa plutony piechoty wyruszyły nadzwyczajnymi pociągami z Gdańska do Kwidzyna. Żołnierze zabrali ze sobą 2000 worków i dużo narzędzi dla usuwania wody. Wśród nocy spadły w Kwidzynie gwałtowne deszcze, nasyp kolejowy został zerwany; droga między Kwidzynem a Zedlinem musiała zostać zamkniętą.

Od godziny 4 rano do 11 przedpołudniem szalała burza pomiędzy Gniewem (nad Wisłą) a Biskupicami; nastąpiło oberwanie się chmury. W Gniewie chodniki zerwane, zbiór siana zniszczony zupełnie; w wielu miejscach woda wtargnęła do piwnic.

W Starej wsi na Morawie uderzył piorun w kościół. Na nabożeństwie była właśnie młodzież szkolna. Pewna 10-letnia dziewczynka zginęła na miejscu, sześcioro innych dzieci odniosło lżejsze porażenia. Piorun uszkodził dach i wnętrze kościoła.

W gminie Praslicach zabił piorun dwóch wieśniaków, którzy budowali stodołę.

Powodzie w W. Ks. Poznańskiem. Szkody, spowodowane powodzią w obwodach Warty, Noteci i Odry są ogromne. Obszary, które były dotknięte powodzią, obejmują około 80 tysięcy mórg.

Katastrofa. Miejscowość India w Chorwacyi nawiedziła straszna burza, połączona z gradem i oberwaniem się chmury. Deszcz lał strumieniami przez kilkanaście godzin. Ogromne obszary pól zalane. Zasiewy prawie w zupełności zniszczone. 20 domów po części się zawaliło lub wskutek ciężkich uszkodzeń musiano je opróżnić. W jeziorze pobliskiem podczas ulewy woda podniosła się o metr ponad stan zwykły.

Katastrofa na morzu. Parowiec „Insulaire“ zderzył się dnia 8 czerwca z parowcem „Libau“ koło wyspy Mair. „Libau“ zatonął. Według podanych wiadomości, przy zderzeniu się parowców zginęło wiele osób. Zderzenie nastąpiło o godz. $12^1/_2$ w południe. Na „Libau“ miało się znajdować 200 podróżnych.

Katastrofa. Dnia 10 czerwca, gdy okręt „Moskwa“. wracający z wycieczki, miał wylądować w Azowie nad morzem. tłum ludzi wstąpił na pomost, który się załamał. Liczba ofiar jest wielką.

Trzęsienie ziemi. W Erlau (na Węgrzech) 26-go czerwca o godzinie 6 rano dało się uczuć silne trzęsienie ziemi. Słyszano silne uderzenia podziemne. Wiele domów na przedmieściach zawaliło się, w samem mieście kilkanaście domów doznało uszkodzeń. Wśród mieszkańców przestrach panuje.

Także w Armenii miało miejsce straszne trzęsienie ziemi, które przybrało znaczne rozmiary. Miasteczko Negiloci i kilka wsi zupełnie zniszczonych. Mówią o dwóch tysiącach ofiar.

Tornado. Z Ameryki północnej nadchodzą wieści o klęsce, zrządzonej przez huragan zwany „Tornado“. Miejscowość, głównie nawiedzona przez katastrofę, Kanzas City, leży w stanie Missouri, na prawym brzegu rzeki o tej samej nazwie, poniżej ujścia rzeki Kanzas do Missouri. Jest to ważny punkt handlowy o 132.716 mieszkańcach. Stan Kanzas i Missouri leżą w miejscu, gdzie panują orkany, zwane „Tornado“. Są to wiry powietrzne, większe i niebezpieczniejsze od t. zw. trąb powietrznych. Pojawiają się we wszystkich porach roku, najczęściej jednak między kwietniem a lipcem. „Tornado“ posuwa się z szybkością 5—27 metrów na sekundę, najczęściej z południowego zachodu na północny wschód. Z kształtu przedstawia się „Tornado“ jako słup powietrzny albo wir, podobny do trąby słonia. Prąd powietrza wciąga do środka wszystko napotkane po drodze. Z „Tornadem“ łączą się zwyczajnie groźne burze elektryczne.

W miejscowości Gainsville szalał dnia 1 czerwca w południe taki groźny „Tornado“, który zburzył zupełnie kilkanaście domów i porywał przechodniów. Według przypuszczeń, dwustu ludzi utraciło życie. Przędzalnia bawełny uległa zupełnemu zniszczeniu. Ośmdziesiąt osób utraciło w niej życie.

Most na kolei Union Pacific nad rzeką Kanzas zawalił się. Dwadzieścia siedm osób utonęło. Pięć mostów uniosła woda. Linie kolejowe pouszkadzane. Druty telegraficzne i telefoniczne wszędzie przerwane. Mimo wszelkich usiłowań, nie można się było porozumieć z mieszkańcami z drugiej strony rzeki. Wysłano do Kanzas - City wielką ilość łodzi i środków żywności.

Upadek lawiny. Niedawno wydarzyła się w pobliżu Zurychu w Szwajcaryi wielka katastrofa wskutek upadku lawiny. Grono 18 uczniów z 7 klasy gimnazyum zurychskiego z 2 profesorami wybrało się na wycieczkę w góry. Według opowieści jednego z uratowanych uczniów, wyruszyli w drogę z Zurychu we czwartek rano, wieczorem stanęli w Sedrunie, gdzie zanocowali, a rano o godz. 5, zabrawszy przewodnika, powędrowali dalej; tymczasem okazało się, że przewodnik drogi dobrze nie znał, gdyż nagle turyści ujrzeli przed sobą wielkie ściany skaliste, tak strome, że o przedostaniu się przez nie mowy być nie mogło. Zawrócili tedy i, doszedłszy do Val Cadlimo, spoczęli na małej łączce, podzieleni na dwie grupy; jedna zajęła miejsce pod skałą, a druga, bardziej w bok, nieco wyżej. Siedzieli krótką chwilę, gdy rozległ się krzyk i wołanie: „Baczność!“ Odwrócili się przerażeni i ujrzeli jakby wodospad lecący na nich w szalonym pędzie — ucieczka była niemożliwa, siedzących na łące pochwyciła lawina i wraz ze śniegiem, lodem, odłamkami skały stoczyli się na jakie 50 metrów w głębię. „Myślałem, że nadeszła moja ostatnia godzina“ — mówił dalej ów uratowany

uczeń — „instynktownie walczyłem w śniegu rękami i nogami, by nie upaść na głowę. Nagle stanąłem na nogach, nie poniósłszy żadnego obrażenia, obok mnie stanął drugi kolega, a niebawem nadbiegł i trzeci". Ci trzej zabrali się do ratowania prof. Vodoza, który miał głęboką ranę w głowie i nogę złamaną, oraz do wydobywania z pod śniegu ranionych kolegów. Prof. Gröbli i jeden z uczniów ponieśli śmierć na miejscu, inny uczeń zmarł podczas przenosin do Piory, skąd wezwano pomocy; sześciu z grupy, która siedziała wyżej, wyszło bez szkody, zdążyli wczas uciec i powrócić do Sedrunu. Rozbitki z tej smutnej wycieczki udali się do Airolo, gdzie przybyli też krewni uczniów i lekarze z Zurychu. Katastrofa wywołała w całym kraju głębokie wrażenie, gdyż podobne wycieczki profesorów z uczniami w góry Szwajcaryi odbywają się co roku.

Olbrzymie pożary w Ameryce. Wedle ostatnich wiadomości z Ameryki pożar lasów w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych ogarnął olbrzymią przestrzeń trzech tysięcy mil angielskich. Cały szereg miast stoi w płomieniach. Innym zagraża duszący dym i popiół. W samym Nowym Jorku panuje upał straszny, a powietrze napełnia dym, utrudniający oddychanie.

Od strony morza widać pożar na odległość 600 mil morskich. O szkodach na razie nie można sobie wyrobić pojęcia. Bogacze, mający tam ogromne posiadłości, wysyłają na miejsce pożaru setki robotników osobnymi pociągami. Mnóstwo farm tj. folwarków leży w popiołach. Liczba bezdomnych nie da się oznaczyć, ale jest przerażająco wielką. W odległości 25 kilometrów od miasta Bostonu palą się lasy, a miasto całe napełnia dym i popiół. Gdzie tylko jest w Kanadzie las, pali się wszędzie.

Ruch pociągów w tamtych stronach wstrzymany. Mnóstwo stacyj i budynków kolejowych spłonęło, chociaż starano się pożar wstrzymać, kopiąc rowy. Nowy Brunszwik jest od świata i pomocy zupełnie odcięty. Nie ma sposobu nawiązania z tem miastem jakiejkolwiek komunikacyi, ani koleją, ani telegrafem. Ratunek, jaki wojsko niesie, jest nieznaczny. Pociągi ratunkowe powstrzymuje upał w odległości 5 kilometrów od miejsca pożaru.

Rzadkie zjawisko atmosferyczne. W Australii panowały od pewnego czasu straszne upały. Gdy doszły już do najwyższego punktu, pojawiły się nagle tam, jak zwykle, suche burze, które sypały tumany gorącego piasku i drobniutkiego pyłu. Burzy ostatniej towarzyszyło niezwykłe zjawisko. Pojawily się w rozpalonem powietrzu ogniste kule, które pękały, rozsypując się tysiącami iskier. Całe powietrze wydało się jakby napełnione ogniem, jednakże były także chwile zupełnej ciemności w biały bezchmurny dzień tak, że trzeba było zapalać latarnie na ulicach a ptactwo układało się do snu. W Longdale'y kula ognista zapaliła dom. W Chiltren (Victoria) wybuchająca kula również wszczęła pożar. Z wielu innych miejscowości w Victorii donoszą o wielkiej ciemności i kulach ognistych. Niektóre z tych kul znikały szybko bez powodu. W bliskości Sidney kula poraziła człowieka, pękając nad jego głową. Z tych wypadków wynika, że tajemnicze kule były to błyskawice, w tej formie bardzo rzadko się pojawiające.

Wścieklizna u lisów. W powiatach stanisławowskim i brzeżańskim szerzy się od wczesnej wiosny wścieklizna między lisami. Chore lisy rzucają się na ludzi w lasach, wpadają nawet do wiosek. Od lisów przeniosła się choroba na borsuki. W Bludnikach pokąsał borsuk chłopaka, którego zaraz odesłano do krakowskiej kliniki.

Zakaz wianków. Piękną tę uroczystość świętojańską, przechowaną z polskich czasów i w Poznaniu od niepamiętnych czasów obchodzoną, zakazała policya bez podania powodów. Dawniej urządzało „wianki" Towarzystwo „Stella" za bramą szelągoską, gdzie malownicze położenie bardzo się nadawało do tej uroczystości i nadawało jej większego uroku. Od dwóch lat pozwalano na urządzanie wianków w miejscu pomiędzy mostem chwaliszewskim a miasteczkiem. Jeśli w roku bieżącym w tem miejscu odbyć się nie mogła z powodu prac nadbrzeżnych, to jeszcze odpowiedniejsze miejsce było za bramą Dębińsk.

W tym roku chciało „wianki" urządzić Tow. „Gwiazda". Słusznie pisze *Orędownik*:

„Wianki są starym zwyczajem ogólno polskim, więc czy je urządza „Stella" czy „Gwiazda" lub inne Towarzystwo, interesują one i są własnością wszystkich Polaków, dlatego nietylko Towarzystwo „Gwiazda", ale całe społeczeństwo powinno dochodzić praw swoich i nie pozwolić sobie uszczuplać tradycyjnych zwyczajów naszych".

Prusacy zabili chłopa naszego. Doszła tu straszna wieść o jednym z chłopaków z Białki, o niejakim Jaśku Wodziaku, który przed trzema laty wyjechał był na zarobki za Ocean do Ameryki. Obecnie ten Jasiek Wodziak zginął. Zamordowali go Prusacy. Rzecz się miała tak:

W Wielkanocne święta tego roku udał się Jan Wodziak do swojaka Korkosa na święcone. Zastał tam kilku Prusaków, mieszkających u Korkosa. Gdy tylko Wodziak z Korkosem zaczęli rozmawiać po polsku, Prusacy zaczęli hałaśliwie krzyczeć przeciwko „temu nadużyciu". Nie mogli zrozumieć, jak Polacy ośmielają się mówić nie po niemiecku.

Wodziak zwrócił uwagę Prusakom, że nie są w Prusiech, że w Ameryce wolno mówić, jak kto chce. Rozbestwieni Prusacy rzucili się na biednego Wodziaka i tak długo się nad nim znęcali, aż go życia pozbawili. Jednego z tych Prusaków wraz z Korkosem, który dopuścił do tego morderstwa

w swym domu — uwięziono, reszta zaś Prusaków zdołała umknąć bez śladu.

Ziemia na Ślązku. Z Cieszyna piszą: Majątek Toszanowice górne na Ślązku austryackim jest z powodu śmierci właściciela zaraz do sprzedania. Dobra te są $^3/_4$ godziny końmi od Cieszyna oddalone i składają się z 365 morgów gruntu, w czem 100 morgów młodego lasu i 28 morgów łąk. Grunt: glinka i iły, urodzajny; system gospodarstwa zbożowo-pastewny (głównie owies i koniczyna jako najlepszy artykuł zbytu). Wartość majątku 200 000 koron. Jak wyżej wspomniano, majątek ten jest z powodu śmierci właściciela p. Sadowskiego do sprzedania, bo pozostała wdowa nie czuje się na siłach gospodarstwo to dalej prowadzić. Do kupna zgłaszają się dotychczas sami Czesi; Polakom jednakże, na tych kresach zamieszkałym, zależałoby na tem, aby ten majątek dostał się w polskie ręce i aby w ten sposób jedną z placówek polskich uratować. Wszelkich bliższych wyjaśnień w tej sprawie udziela notaryusz w Cieszynie p. Antoni Kasprzak. Możeby rozparcelować?

Roczne cielę o dwóch głowach. W majątku Dankowie p. Franciszka Chrzanowskiego w Królestwie Polskiem, jeszcze w kwietniu 1902 roku ulęgło się cielę o dwóch głowach i sześciu nogach. Z początku nie rokowano długiego życia temu wybrykowi natury, cielę żyje jednak już rok i jest najzupełniej zdrowe.

Jak śnią zwierzęta? Zwierzęta, według wszelkiego prawdopodobieństwa śnią podobnie jak ludzie, t j. miewają podczas snu senne zwidzenia. Pewien uczony twierdzi, że ruchy, jakie zwierzęta wykonywują przez sen, doskonale pouczają o wrażeniach, które odbierają we śnie. U zwierząt sen przejawia się rozmaicie Woły śpią twardo, szczególniej po zmęczeniu pracą. Cielęta śpią bardzo lekko, podnoszą często głowę, lub potrząsają nią, ruszają całem ciałem i beczą. Cielęta jeszcze ssące często podczas snu robią ruchy przypominające ssanie, konie wogóle mało sypiają, 5 do 6 godzin, ale zwykle zmiany pogody wpływają natychmiast na ich sen. Jeżeli ma być trzęsienie ziemi, konie odczuwają to doskonale, rżą, biją kopytami o ziemię i t. p. Ogiery, leżąc we śnie, częstą rżą przez sen i mają nawet jakby rodzaj śmiechu. Jest to niezbity dowód na to, że mają senne widzenia. Każdy strzelec wie dobrze, że psy śnią. Najczęściej gnębi je we śnie uczucie strachu. Zwierzę zapewne nie zdaje sobie sprawy z tego, że śni i nie może odróżnić snu od rzeczywistości.

Wyrodna matka. Do wiadomości policyi doszło, że Franciszka Matwijczuk, zamieszkała przy ulicy Krzywej na Zamarstynowie we Lwowie, wraz z kochankiem, niejakim Sawickim, głodzi i pastwi się w nieludzki sposób nad swem nieślubnem dzieckiem. Kilka razy już przedtem organa władzy miejscowej przychodziły do mieszkania Matwijczukowej badać, czy istotnie głodzi ona dziecko tak, jak to sąsiedzi głośno rozpowiadali. Wtedy sprytna baba umiała zmylić organa te w ten sposób, że brała cudze zdrowe dziecko i pokazywała jako swoje. Nareszcie zeszłego tygodnia wykryto nieludzkie postępowanie Matwijczukowej. Przy dokładnej rewizyi jej mieszkania zauważyła policya w ścianie kryte drzwiczki, prowadzące do komórki, w której gnieździły się króliki. W norze tej na gnoju, nieczystości i szkle potłuczonem siedziała skulona 5 lat licząca dziewczyna Matwijczukowej. Wyciągnięto ją stamtąd na izbę. Był to nawpół trup. Nieszczęśliwe dziecko roztworzyło szeroko zamglone oczy i z trwogą spojrzało na matkę. Patrzeć na to biedactwo przychodziło obecnym z wielką przykrością, a równocześnie wzbudzało się oburzenie na potworną matkę. Dziewczyna bowiem, prócz wynędzniałego wyglądu, miała na ciele kilka ran od szkła, na którem musiała siedzieć. Rany te już się ropiły. Gdy dziecko oswoiło się z widokiem obcych ludzi i przeczuło, że mu się nic złego nie stanie, odpowiedziało na zapytanie: „coci jest biedna dziecino?“ — „ja bardzo głodna“. Bardzo często dziecko musiało być zamykane w tej ciemnej komórce, bo skoro wyniesiono je na podwórze, nie mogło ścierpieć światła. Zarząd gminy Zamarstynowa zajął się odstawieniem nieszczęśliwej istoty do szpitala, potworną matkę sprowadzono na policyę. Tutaj wcale nie tłómaczyła się Matwijczukowa, jeno odpowiedziała na wyrzuty komisarza policyi: „a cóż ja mam z tym bękartem zrobić, kiedy nie mam do niego serca“. Na razie zaopiekowała się Matwijczukową żandarmerya. Istnieje przypuszczenie, że zbrodniarka ta chciała dziecko zagłodzić i w ten sposób pozbyć się go. Czy będzie można jeszcze dziewczynkę uratować, nie wiadomo.

Zatonięcie 11 dzieci. O strasznym wypadku, jaki się wydarzył pod wsią Dębcze w W. Księstwie Poznańskiem, donoszą jeszcze następujące szczegóły: „Rano wyszły dzieci włościańskie w wieku lat 13 i 14 z trzech wsi: Pieszkowa, Witowa i Orzechowa, a zebrawszy się razem na prawym brzegu Warty, przeprawiły się na łodzi do Dębcza, gdzie udały się do kościoła i tu przygotowywały się do pierwszej spowiedzi św. Nauczanie trwało dwie godziny, poczem dzieci tą samą drogą musiały powracać do domu. Dębcze leży w powiecie jarocińskim, pomiędzy stacyami kolejowemi, Pogorzelicami i Nowem Miastem; parafia zaś tamtejsza obejmuje kilka wsi, położonych po jednym i drugim brzegu Warty. Dla ułatwienia komunikacyi i umożliwienia bytności w kościele, utrzymywany był od dawnych czasów prom wygodny, urządzenie to jednak zostało przed kilku laty zniesione, a natomiast zaczęły kursować łodzie, przewożące parafian za skromną opłatą.

W chwili, gdy przeszło 40 dzieci stanęło nad brzegiem, nadeszła spora gromada ludzi i zajęła miej-

sca w łodzi. Rozważniejsi radzili, ażeby dzieci poczekały i ażeby łódź zrobiła dwa obroty; przewoźnik jednak zaręczył, że czółno wytrzyma ciężar, i uparł się, ażeby wszyscy wsiedli razem. Już po odbiciu łodzi od brzegu zauważono, że przez dno dziurawe dostaje się woda, i wtedy dosyć było czasu zawrócić. Przestrogi zbył przewoźnik śmiechem i zatkawszy dziurę pakułami, ruszył ku przeciwnemu brzegowi. Na największej głębi woda gwałtownie wdzierać się zaczęła do środka i łódź się zanurzała coraz więcej. Dzieci z krzykiem cisnęły się instynktownie ku tylnej części łodzi, chcąc być bliżej brzegu. Ciężar przeważył i czółno w okamgnieniu się przewróciło. Stało się to w oczach kobiet, matek, które zgromadziły się na brzegu Warty, ażeby tutaj oczekiwać na powrót. Nie zważając na niebezpieczeństwo, wiele matek rzuciło się do wody, ażeby biedz na ratunek, i siłą powstrzymywać musiano zrozpaczone kobiety od tego kroku. Rozegrały się sceny straszne: ratowano tonących w sposób bohaterski, pomimo to jednak nie zdołano ocalić wszystkich i zatonięcie łodzi pociągnęło za sobą 12 ofiar. Z dorosłych zatonął tylko przewoźnik, dzieci zaś zginęło 11. Wypadek w okolicy wywołał wstrząsające wrażenie.

Klęski w powiecie krakowskim. Wydział Rady powiatowej krakowskiej odbył posiedzenie pod przewodnictwem prezesa dra Franciszka Paszkowskiego. Obmyślano środki na naprawę bardzo znacznych szkód w drogach i mostach, wyrządzonych oberwaniem chmury w zachodniej części powiatu, szczególniej w gminach Morawica, Chrosna, Brzoskwinia i Cholerzyn. Szkody na drogach i mostach wynoszą kwotę 6.000 koron. Ulewa zalała pola, ogrody i łąki; niżej położone grunta zasypała kamieniami, piaskiem, ziemią i gałęziami tak, że zbiory zboża i siana zupełnie przepadły. Na pochyłościach położone, uprawione pola przedstawiały obraz, pełen wyrw i dołów. Wszystkie drogi publiczne i polne są tak zniszczone, że w niektórych gminach np. w Brzoskwiny i Chrosny, niepodobna przejechać. Nie obeszło się bez szkód w budynkach. Pewnej kobiecie gwałtowne fale zabrały część domu; woda uniosła wiele sprzętów gospodarskich, tudzież skoszone siano.

Obradowano dalej nad złagodzeniem klęski gradowej w północnej części powiatu. Dnia 16 czerwca b. r. nagle w południe zapanowały w mieście takie ciemności, że trzeba było zapalić lampy. Wtedy spadł wielki grad w gminach Bosutów, Boleń i Węgrzce i zniszczył zupełnie pięknie zapowiadające się plony, na szczęście na niewielkiej przestrzeni. Obecnie z powodu spóźnionej pory, poszkodowani włościanie nie mogą dokonać ponownych obsiewów. Wydział powiatowy uchwalił udzielić im zapomogi na jesienne zasiewy.

Kółka rolnicze w Galicyi. Rok 1902 zamknął drugie dziesięciolecie istnienia galicyjskiego Towarzystwa Kółek rolniczych. Sprawozdanie, jakie za ten rok wydał Zarząd główny, zawiera szczegółowy obraz o nowych kierunkach działalności zarówno Towarzystwa, jak i poszczególnych Kółek.

Kółek nowych powstało w roku ubiegłym 79. Jakkolwiek więc z założonych dawniej upadło w tym roku 57, to jednak przyrost liczby Kółek, obejmujący 22 nowych, jest dość znaczny. Należy więc do Towarzystwa z górą 1.000 Kółek, które razem liczą 41.000 członków.

Wartość własnych ich budynków dosięgła w roku bieżącym 550.289 koron. Liczba dzieł w bibliotekach Kółek wzrosła o 9.000, tj. jest ich 63.043.

Bardzo znacznie wzmogło się zapotrzebowanie lepszych nasion, a zwłaszcza maszyn i narzędzi rolniczych w Kółkach.

Z 952 Kółek posiadało w roku ubiegłym własne spichlerze Kółek 52, mleczarnie spółkowe Kółek 8, piekarnię wspólną Kółek 6, rzeźnię Kółek 116, kasę pożyczkową lub spółkę, nie należącą pod Patronat spółek 43 Kółek, kasę lub spółkę pod Patronatem 83 Kółek. I te liczby wykazują przyrost. Ochotnicze straże pożarne istniały w 76 Kółkach, 93 zaś posiadały własne sikawki pożarne.

Lepsze wyniki wykazuje sprawozdanie co do ruchu handlowego Kółek. Złe stosunki handlowe po wsiach i miasteczkach, nadmierny wyzysk, wysokie ceny przy najgorszej jakości towaru w handelkach prywatnych, narzuciły formalnie Kółkom rolniczym zadanie przeprowadzenia zmian w drobnym handlu. A przyniósł on Kółkom wielkie korzyści materyalne i moralne, wytworzył konkurencyę, obniżył ceny i zachęcił do podjęcia innych zyskownych przedsiębiorstw.

Sklepy handlowe istniały przy 705 Kółkach; z tych 456 prowadzono we własnym zarządzie a 249 wypuszczono w dzierżawę. W te handlowe przedsiębiorstwa włożyły Kółka razem blisko pół miliona koron.

Szkoła handlowa Towarzystwa w Czernichowie dostarcza co roku około dwudziestu praktycznie wykształconych sklepikarzy.

W końcu nadmienić jeszcze należy, że Kółka w roku 1902 złożyły na potrzeby kościelne 20.058 koron, na inne cele publiczne 5.693 koron.

Sprawozdanie tegoroczne dowodzi wymownie, że nawet w tak trudnych stosunkach, jakie panują w naszym kraju, uczciwa praca dla dobra publicznego poparta wytrwałością i energią niezmiernie dużo zdziałać może.

Piorun w kościele. *Gaz. Kiel.* donosi o strasznym wypadku, jaki się zdarzył w kościele parafialnym w Mstyczowie w Królestwie Polskiem. W chwili, gdy lud zbierać się zaczął w kościele na nabożeństwo, wpadł przez wieżę świątyni piorun, rozerwał dach

i skierował się ku organom. Tuż przy organach siedział na ławeczce młody chłopiec, który też został zabity na miejscu. Wraz z nim padło na ziemię kilku chłopców poparzonych i ogłuszonych. Z chóru piorun spadł na ludzi, siedzących w ławkach, porażając kilku silnie. Huk był straszliwy, a jasność oślepiająca. Ludzie twarzami padali na posadzkę i w tej pozycyi długo leżeli bezprzytomni. Dopiero po jakimś czasie zajęto się ratunkiem, wynoszono odrętwiałych, zakopywano w ziemię i cucono nieszczęśliwych. Ośm osób poniosło ciężkie kontuzye, jest wszakże nadzieja, że uda się utrzymać wszystkich przy życiu. Na jednym z porażonych paliło się podczas wynoszenia ubranie. Akcyą ratunkową kierował proboszcz ks. Skowera.

Śmierć Polaków. Straszna katastrofa zdarzyła się zeszłego miesięca na morzu niedaleko Antwerpii, której ofiarą padło 19 emigrantów polskich.

Statek „Huddersfield“, na którym znajdowali się emigranci, wypłynął z Antwerpii o godzinie 8 wieczorem. Noc była jasna i ciepła. Podróżni korzystając z tego, pozostali na pokładzie aż do godziny mniej więcej 11. O tej porze większa część emigrantów zeszła do kabin, część zaś pozostała na pokładzie. W pół godziny potem ukazał się ze strony przeciwnej parowiec. Był to, jak się później okazało statek norwegski „Uto“, płynący z Rotterdamu. Ponieważ każdy z parowców trzymał się, stosownie do przepisów, brzegu przeciwnego, niebezpieczeństwo zdawało się wykluczone. Nagle, będąc prawie już na jednej linii z „Huddersfieldem“, „Uto“ zmienił kierunek z przyczyn dotąd niewyjaśnionych, przyczem wpadł siłą pary na „Hudersfielda“. Skutek był straszny, albowiem „Uto“ zderzając się z „Hudersfieldem“, zrobił ostrzem swym dziurę u prawej strony, to jest właśnie tam, gdzie znajdowały się kabiny emigrantów. W przeciągu kilku sekund woda zalała kabiny tak, że zaledwie parę osób zdołano uratować. Reszta w ilości 25 osób poszła wraz z okrętem na dno. — Znajdujących się na pokładzie emigrantów, w liczbie 16, oraz załogę zdołano uratować. Z pomiędzy 25 ofiar tej niesłychanej katastrofy, 19 było Polaków, 5 Włochów i 1 Rosyanin. Oto nazwiska Polaków, którzy zginęli: Popowicz, Karpiuk z żoną i dzieckiem, Jan Bobonowicz, Teodor Tezabas z żoną i dwojgiem dzieci, Bazyli Kowaluk, Dymitr Baziuk, rodzina Danyszczuk — 5 osób, Strzeleckich dwoje, Ludwik Swirski.

Gazety antwerpskie zajęły się gorliwie emigrantami, piętnując nieludzkie postępowanie kompanii, która pozostawiła ocalonych przez okręt „Uto“ Polaków bez pożywienia przez cały następny dzień po katastrofie. Również i kolonia polska studencka w Antwerpii zajęła się ocalonymi emigrantami gorliwie, zaopatrując ich w odzież i pieniądze. Wszystko bowiem biedacy stracili.

Nowy „polski zamach“. Sądy pruskie znowu sądziły „niebezpiecznych agitatorów polskich, dążących do zamachu na całość państwa bojaźni Bożej“.

Dnia 8 czerwca b. r. rozpoczęła się przed pruską Izbą karną w Gnieźnie główna rozprawa przeciw gimnazyalistom polskim, oskarżonym o „knowanie tajnych spisków i o zamach na całość państwa“.

Jaka jest wina oskarżonych?

Oto uczyli się historyi polskiej i literatury, i to jest „knowaniem tajnych spisków“, wedle prokuratoryi pruskiej.

Oskarżonych było kilkunastu.

Wszystkich oskarża prokuratorya pruska, że w latach od roku 1898 do 1902 należeli w Gnieźnie do tajnej organizacyi, której istotnie, ustrój i zadanie zachowane miały być w tajemnicy przed rządem pruskim. Towarzystwo to nosiło nazwę „filomatów i filaretów“.

Z oskarżenia dowiadujemy się, że sąd gnieźnieński przychodzi do przekonania, że pomiędzy ludnością polską wszystkich trzech zaborów istnieje tajna organizacya (?!), mająca za zadanie budzenie i szerzenie poczucia narodowości polskiej, gdzie go dotąd niema, a utwierdzanie i pogłębianie go tam, gdzie się ono już rozwinęło, by w ten sposób przygotować całe społeczeństwo do zrzucenia jarzma zaborców i wskrzeszenia w danej chwili wolnej i niepodległej Polski.

Pomimo, że oskarżenie takie jest bezpodstawnem, sąd skazał większą część młodzieńców na karę długiego więzienia.

Poziomka. (Baśń ludowa). Kiedy Chrystus jeszcze był dzieckiem, poszedł pewnego dnia bo poblizkiego lasu i tam postanowił zerwać piękną wiązankę kwiatów dla Swej ukochanej Matki Maryi. Las był uroczy, a dziecko Boże oszołomione zostało widokiem cudnych roślin, które wdzięczne chyliły się do stóp Jego. Chłopiec, zrywając spiesznie barwne kwiaty, coraz radośniej wydawał okrzyki na widok wspaniałych kolorów, woni i form przedziwnych w swej rozmaitości. Naraz oczy Chrystusa spoczęły ze zdziwieniem na niepozornej, trójlistnej roślinie z kwiatkiem skromnym białym i bez woni — w tej chwili właśnie zrywał mały Jezus dumnie stojącą lilię, która z widoczną radością skłaniała się ku Świętemu Dziecięciu. — Smutne to życie moje — z westchnieniem cicho, ledwie dosłyszalnie zaczęła skargę swoją trójlistna roślina — wszyscy uganiają się za mojemi siostrzycami, które Bóg obdarował tak cudnie, na mnie oko żadne nie spocznie, a chociaż to urocze, złotowłose dziecię spojrzało ku mnie, to wiem, że nie zerwie mnie, ale, mimo braku mej urody, nie skarżę się, szepnęła po chwil roślinka — to samo słońce, które ogrzewa moje piękne siostry, otula i mnie ożywczo, ta sama rosa spływa na moje listki, a Bóg jest moim

opiekunem, to mi wystarcza — kończył z rozrzewnieniem trójlisek. Szept cichy, ledwo dosłyszalny dobiegł uszu Boskiego dziecięcia, schylił się nad wątłą roślinką i zerwawszy ją, z uczuciem odezwał się do niej w te słowa: — Skromność twoja, mój kwiatku, zadowolenie twoje z losu, jaki ci przypadł w udziale, Ojciec mój ci wynagrodzi, odtąd staniesz się wielbiony, przez wszystkich poszukiwany, a owoc twój będzie wonny, smaczny i zdrowy. Z temi słowy Dziecię na białym kwiateczku rumianemi usteczkami wycisnęło gorący całus, a pod dotknięciem Jezusowych ust, kwiatek biały opadł, na jego miejsce zaś ukazał się pąsowy, soczysty owoc i to były narodziny pierwszej, leśnej poziomki.

Szkodniki roślin. Podobnie, jak ludzie i zwierzęta mają wrogów nietylko większych, silniejszych od siebie, ale też i drobnych, a jednak niebezpiecznych — tak również i rośliny bywają nieraz trapione przez różne rodzaje drobniutkich grzybków, mszyc, gąsienic i tym podobnych pasożytów. Ponieważ pasożyty te niszcząc rośliny sprawiają straty ogromne, przeto ludzie rozumni obmyślają coraz skuteczniejsze sposoby tępienia tych szkodników. Chcę właśnie niektóre z tych sposobów podać tu dla pożytku Czytelników Gazetki.

Najpierw jednak wszystkie szkodniki roślinne podzielimy na trzy główne gromady, a mianowicie: 1) grzybki czyli zarazki; 2) mszyce, wszy i pluskwy roślinne: 3) gąsienice czyli liszki.

Grzybki ukazują się bądź jako plamki brązowe, szare, lub czarne na liściach i owocach, bądź jako pleśń blado-niebieska, występująca szczególniej na liściach i korzeniach winorośli. One też są przyczyną ran na drzewach, wycieków i raka roślinnego.

Grzybki rozmnażają się z drobniutkich nasion, które wyglądają jak pyłek, gdy się na nie patrzy gołem okiem. Wiatr przenosi je z rośliny na roślinę, a gdzie znajdą odpowiednie dla siebie łożysko, nadzwyczaj szybko się rozmnażają. Jeżeli zraz użyty do szczepienia lub oczkowania zarażony jest grzybkami, to i drzewo z niego otrzymamy chore.

Grzybki rozwijają się na drzewach: 1) nieumiejętnie dobranych do gruntu; 2) rosnących na ziemi suchej i nieumierzwionej, 3) rosnących zbyt gęsto, 4) w powietrzu zbyt zimnem i wilgotnem. Przeciwnie ziemia bogata w wapno i w pożywne części, słońce i swobodny przewiew powietrza tamuje rozwój grzybków.

Mszyce, wszy i pluskwy roślinne rozmnażają się z jajeczek, które albo samica składa wprost na roślinach, albo też mrówki pielęgnują, a potem zanoszą wylęgłe mszyce na drzewa.

Gąsienice rozmnażają się także z jajeczek składanych przez owady na liściach, na gałązkach, lub za korą drzew. Z jajeczek tych po pewnym czasie wylęgają się gąsieniczki żyjące kosztem roślin i bardzo dla nich szkodliwe. Gąsieniczki potem przemieniają się w poczwarki, a z tych dopiero wykluwają się zupełnie wykształcone owady.

Sposoby niszczenia tych szkodników. Ciecz bordoska. W naczynie gliniane albo drewniane wlewa się półtrzecia garnca wody miękkiej i wsypuje się dwa funty miałko potłuczonego siarczanu miedzi czyli koperwasu niebieskiego. Ponieważ siarczan miedzi trudno się rozpuszcza, należy go zatem wsypać do wody zawczasu, naprzykład jeśli potrzebny jest na rano, to rozpuścić go wieczorem. W drugie naczynie, także gliniane, drewniane lub t. p., byle nie metalowe, wlewa się półtrzecia garnca wody miękkiej, i rozpuszcza się w niej półtrzecia funta niegaszonego wapna, które dopiero teraz, przed wsypaniem, gasimy po trochu wodą braną z tegoż naczynia.

Kiedy siarczan miedzi i wapno rozpuszczą się już w wodzie, bierzemy trzecie naczynie, również nie metalowe, wlewamy 20 garncy wody, a potem lejemy najprzód rozpuszczony siarczan miedzi, następnie zaś wapno, cedząc oba te płyny przez płótno, aby oddzielić cząstki nierozpuszczone. Gdy jedna osoba wlewa te płyny do wody, druga powinna mieszać ciągle wodę kopystką drewnianą. Cieczą tą trzeba rośliny zraszać zapomocą rozpylacza, czyli sikawki, rozpylającej na miliony niezmiernie drobnych, a gęstych kropeleczek. Przed każdem wiżniem trzeba ciecz „bordoską“ dobrze wymieszać.

Ciecz bordoska służy głównie do niszczenia grzybka. Zraszać nią drzewa należy w końcu marca przed samem ruszeniem pączków liściowych, potem przed samem rozwinięciem się kwiatu, i zaraz po opadnięciu kwiatu. Jeżeli wiosna jest wilgotna i chłodna, a zatem sprzyjająca rozwojowi grzybka, to trzeba spryskiwanie powtórzyć jeszcze dwa razy co parę tygodni.

Jeżeli chcemy jednocześnie użyć sposobu na grzybek i na gąsienice, to do 25 garncy czyli do stu kwart wody dodajemy 4 łuty arszeniku miedzi (zieleni paryskiej).

Sposób na gąsienice. W 50-ciu kwartach wody rozpuścić 10 łutów niegaszonego wapna i 2 łuty arszeniku miedzi (zieleni paryskiej).

Albo: W 75-ciu kwartach wody rozpuścić 2 uncje arszeniku sody i półszostej uncji octanu ołowiu.

Emulsya naftowa na mszyce, wszy i pluskwy. W dwóch kwartach wody ciepłej rozpuścić ćwierć funta szarego mydła. Po zupełnem rozpuszczeniu się wlać trzy kwarty nafty i mieszać drewnianą kopyścią póty, aż utworzy się piana podobna do śmietany. Potem dolać 15-cie kwart wody ciepłej, i emulsya jest już gotowa.

Sposób na mszyce i rosę miodową. Wziąć po połowie miałko utłuczonego na mączkę niegaszonego wapna i kwasu siarczanego, jak najdokładniej zmieszać i tem opylać drzewa.

Uwaga. Arsenian sody i arsenian miedzi są bardzo silnemi truciznami i bez przepisu lekarza żaden skład apteczny ich nie wyda. Należy więc wziąć od doktora karteczkę czyli receptę do składu aptecznego. Można mu pokazać Gazetkę, aby wiedział, na co i ile tego zapisać.

Przy spryskiwaniu drzew nie stawać pod wiatr, aby nie oddychać rozpylaną trucizną. W czasie zraszania drzew nie powinni się znajdować w pobliżu ani ludzie, ani zwierzęta. Po wykonaniu tej czynności umyć dobrze mydłem twarz i ręce, usta zaś i gardło wypłukać czystą wodą. Przy opylaniu drzew proszkami należy nadto nałożyć na oczy umyślnie do tego zrobione okulary chroniące od szkodliwego pyłu.

Kwiat siarki i siarczan miedzi kupować w składzie aptecznym, nie zaś w sklepikach, chodzi bowiem o to, aby były jak najczystsze.

Witalis Urbanowicz.

Środek przeciw liszkom na kapuście. Od p. Jana Soczyńskiego, kierownika szkoły, otrzymaliśmy następujące pismo:

Pozwalam sobie zabrać głos w tej sprawie, bo przypuszczam, że me doświadczenie przynieść może innym pożytek.

W r. 1898 gąsienica bielinka w Zbaraskiem doszczętnie niszczyła liście kapusty, która z tego powodu przedstawiała widok roślin pręcikowych. W ogrodzie, w położeniu nad zarosłym stawem w Nowemsiole spostrzegłem kapustę u państwa Majerów, pocztmistrzów, o pięknie rozwiniętych liściach i normalnie rozwijających się główkach. Na moje pytanie, czem chronią kapustę przed gąsienicami bielinka, p. Majerowa odpowiedziała, że tatarakiem (zielem tatarskiem), rozrzucając go po grządkach kapusty. Dla braku ogrodu u siebie zastosowałem ten środek w ogrodzie wieśniaka Hrycia Chomy w Terpiłówce. Okazał się znakomitym. Do trzech dni jednej gąsienicy na kapuście nie było. Uciekły. Złożone jaja zalęgowe nie wydały płodu.

Ochrona kapusty przed gąsienicami (liszkami). Od p. W. Wilka z Białobrzegu otrzymaliśmy następujące uwagi w tej sprawie:

Gdziekolwiek kapusta posadzona, nawet i między drzewami, jeżeli roztrzęsiemy między nią nawóz nierogacizny, gąsienice uciekać z niej będą, nawet i te co z drzewa spadną. Niechże to lekarstwo gospodynie zbierają, a zwyciężą gąsienice i kapusta będzie piękna.

Jak ochronić drzewa od robactwa? Niejeden z tych co drzewa sadzą, myśli sobie: „Wsadzę drzewo owocowe, a jak urośnie, to mi dużo wyda gruszek, lub jabłek i będę miał z niego zysk“. Ale nie dosyć posadzić drzewo; trzeba jeszcze pracować koło niego, tak, jak się pracuje koło domowego bydlęcia. Jeżeli koniowi nie dam jeść, nie oczyszczę go, nie napoję w swoim czasie, to spadnie z mięsa, siły straci i do roboty stanie się niezdatny. Jeżeli nie nakarmię krowy, nie będę miał mleka. Jeżeli zaś drzewo owocowe puszczę o własnej mocy, to urośnie ono wprawdzie, ale zagęstnieje, zdziczeje, a co najważniejsza, owady je zjedzą. Dzieje się to już zrządzeniem Boskiem, że na te rośliny, które człowiek hoduje, rzucają się masami żarłoczne szkodniki i napadają choroby, a to pewnie dlatego, byśmy nieinaczej, jak tylko w pocie czoła chleb swój spożywali. Kto pracowity i dbały, ten choć w części drzewo swoje od klęski uchroni, gdy tymczasem leniwy łatwo je do upadku doprowadzi.

Wstyd się do tego przyznać, ale więcej tu nas jest jeszcze leniwych, niżli pracowitych. Leniuchom to właśnie mamy do zawdzięczenia, że sady nasze od owadów takie wielkie klęski ponoszą. Zdaje się rzecz to niegrzeszna, jeśli nie zbierzesz gniazd owadów (robactwa) w jednym tylko roku; przecież ich jest tak niedużo w całym sadzie, może ledwie 100 gniazd naliczysz. To być może, ale czy wiecie, mili czytelnicy, że w każdem gniazdku z liści ulepionem, siedzi około sta gąsienic, a więc będzie ich razem w stu gniazdkach z jaki dziesięć tysięcy. Gdy gąsienice doczekają się wiosny i w motyle wyrosną, a potem złożą jajka, to choćby z dziesięciu tysięcy pozostało się tylko tysiąc, a każda znów złoży po 100 jajek, to na rok przyszły będzie już 100 tysięcy, a na rok następny tysiąc tysięcy czyli milion. Wybrało się tu przykład bardzo umiarkowany, bo najczęściej z jednego szkodnika rodzi się ich po 200, po 400 i więcej nawet, a więc mnożą się coraz szybciej.

Niedosyć tego. Jeśli nie zbierasz owadów, to robisz szkodę nietylko sobie, ale i sąsiadom; a choćby oni wszyscy sady swoje z owadów oczyścili, gdy ty nie oczyścisz, to całą okolicę szkodnikami obdzielisz.

Owady szkodliwe są drobne i każdego z nich łatwo poruszeniem palca zgładzić ze świata. Ale tak one są mnożne, że walczą z człowiekiem i zwyciężają go swoją ilością.

Tymczasem dla tych, którzy z własnej chęci chcą przyłożyć rękę do wyniszczenia szkodliwych owadów, co nas plonu owoców pozbawiają, podajemy tu najprostsze sposoby tępienia głównych szkodników:

1. Żeby wyniszczyć chrabąszcze, nie trzeba zabijać kretów, bo te żywią się gąsienicami chrabąszczy, czyli pędrakami. Gdy się już same chrabąszcze w maju pojawią, trzeba je strząsać z drzew, na których śpią i topić w gorącej wodzie, a potem oddawać na pokarm dla kaczek, gęsi i kur, lub też wsypać je do gnoju, na mierzwę.

2. W początku października obwiązać pień drzewa pakułami i posmarować te pakuł lepem zrobionym z dwóch funtów oleju lnianego i jednego funta kalafonii (żywicy). Kalafonią trzeba w naczyniu na ogniu

roztopić i pomieszać z rozgrzanym olejem. Ponieważ lep ten po pewnym czasie wysycha, więc trzeba nim na nowo pakuły posmarować po paru tygodniach. Ostrożności te służą do chwytania samiczek bardzo szkodliwej ćmy. Samice nie mają skrzydeł, więc pełzną po pniu do gałązek w miesiącach październiku i listopadzie, i tam składają jajka, z których na wiosnę wylęgają się gąsienice i pożerają kwiaty i liście.

3. Zbierać starannie małe obrączki, jakby z paciorków drobnych ulepione naokoło cienkich gałązek. Z każdego takiego pierścienia wychodzi po kilkaset liszek, a jedno takie gniazdko wystarcza do objedzenia całego drzewa.

4. Palić za pomocą lampki naftowej na kiju osadzonej gniazda z pajęczyny zrobione, które w lecie pomiędzy liśćmi dostrzedz można.

5. Wieczorem w miesiącach czerwcu, lipcu i sierpniu zapalić w sadzie latarki, do których trzeba przykleić ścianki z tektury lub papieru posmarowanem lepem. Dużo szkodliwych motyli (ćmy) leci do światła i do tektury się przylepia, a wtedy je zgarnąć łatwo.

6. Dawać opiekę ptaszkom śpiewającym, jak sikory, dzięby, gile, pliszki, szczygły, wróble, jaskółki, bo ptaszki te dużo bardzo owadów niszczą, żywiąc się głównie nimi. Trzeba dla nich na drzewach w sadzie zawieszać pudełka lub koszyczki, żeby tam sobie gniazdka słały; a tym ptaszkom, które na zimę nie odlatują, rzucać trochę pośladu, okruchów chleba, lub śmieci z siana, w których są ziarnka. — Jest to najlepszy sposób wyniszczenia szkodników.

Oprócz tego wszystkiego należy drzewa skrobać i bielić, żeby zniszczyć te owady, które się lęgną za korą, a na jesieni cały sad przeorać przed mrozami, żeby wydobyć na wierzch na działanie mrozu te poczwarki, które w ziemi zimują.

Krótko, jasno, dobrze! Francuski minister rolnictwa kazał poumieszczać obok lasów i przy drogach czarne tablice drewniane z następującemi napisami: Pożywienie jeża stanowią myszy i ślimaki, oraz pędraki, zwierzątka bardzo szkodliwe. Nie zabijajcie jeża! Ropucha niszczy w godzinie 20 do 30 owadów. Nie zabijajcie ropuchy! — Kret spożywa nieustannie pędraki, świerszcze, poczwarki i owady wszelkiego rodzaju. W żołądku jego nie znaleziono nigdy ani śladu roślin. Jest on bardziej pożyteczny, niż szkodliwy. Nie zabijajcie kreta! Chrząszcz majowy i pędrak są najgroźniejszymi nieprzyjaciółmi gospodarstwa wiejskiego. Chrząszcz majowy kładzie 60 do 100 jaj, z których powstają najprzód pędraki, a potem znowu chrząszcze. Zabijajcie chrząszcza majowego! Owady wyrządzają corocznie ogromne szkody. Ptactwo jedynie może z nimi walczyć pomyślnie, bo ptaki żywią się gąsienicami! — Dzieci, nie wybierajcie gniazd ptasich!

Czy w naszym kraju nie byłoby rzeczą pożądaną postarać się o podobne tablice i odpowiednie napisy?

Barometry roślinne. Niektóre rośliny odczuwają zmianę pogody i przepowiadają ją. Przedewszyskiem kasztan, który przy pięknej pogodzie, choćby nawet niebo było pochmurne, rozpościera liście swe płasko, jak dłoń ludzka z rozpostartemi palcami, opuszcza je i ściąga palce przy nadchodzącym deszczu. Szkarłatny biedrzeniec oczekuje deszczu, mając kwiaty ściśle zamknięte. Przepowiada takim sposobem zmianę pogody na 6, 12, a nawet 24 godzin naprzód. Biedronek mleczny, ozdabiający łąki białemi swemi, okrągłemi kulkami, zachowuje kształt okrągły tylko wtedy, gdy pogoda jest pewna. Z chwilą zbliżającego się deszczu ściąga niteczki i tworzy maleńką miotełkę. Wszystkie rodzaje koniczyny składają swe listki i pochylają łodygi przy zbliżającym się deszczu.

Na czyszczenie bydła dokładne, zgrzebłem i szczotką, trzeba, w lecie zwłaszcza, szczególnie pilną zwracać uwagę. W lecie bowiem bydło napastują bąki. Składają one, jak wiadomo, małe swe jajka pomiędzy sierść i przylepiają je kleistą cieczą. Wylęgłe małe robaki wwiercają się w skórę bydlęcia i żywiąc się jego sokami, rozrastają w duże beznożne pędraki. Na brzuchu i na grzbiecie, w tych miejscach, gdzie siedzi to robactwo, tworzą się duże guzy, które dokuczają zwierzętom i psują bardzo skórę. Przez staranne codzienne czesanie i czyszczenie sierści, niszczy się jajka tych pasożytów i lepiej się bydło od nich uchroni, niż przez smarowanie jakimiś aromatycznymi środkami.

NADESŁANE.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Na list z Rozdzienia Szanownemu J. Rzę. odpisujemy, przedewszystkiem dziękując za tyle uznania i życzliwości dla naszego pisemka. Dałby Bóg, żeby coraz więcej takich dzielnych zwolenników mieć mogła *Przodownica*, a za wszelkie trudy, przykrości i trudności, jakich się doznaje przy wydawnictwie — takie uznanie, taka ocena jest najmilszą nagrodą a nawet otuchą do wytrwania w podjętej pracy

Dlaczego wiersz słaby, nieudolny nazywają częstochowskim wierszem. Oto nazwa ta pochodzi od miejsca cudownego — Częstochowy. Jak Panu wiadomo, tłumy ludu polskiego zjeżdża na odpusty do Częstochowy. Handlarze, przekupnie z towarem, chcąc coś zarobić od tych pielgrzymów, przywożą różne obrazy miernie malowane, które słusznie bochomazami nazwać można. Są również i ludzie bez talentu i bez wykształcenia bardzo nieudolni, którzy do rymu składają wiersze i wierszyki różne, które sprzedają na odpustach. Od tego pochodzi nazwa wogóle rzeczy nieudolnych — częstochowskiemi, czy to liche rysunki i malowidła, czy wierszyki lub opowieści.

W ciągu tego roku będziemy zamieszczać jako dodatek do *Przodownicy* „Polonię“ Grottgera. Obrazków wszystkich będzie 12 — zadość więc stanie się życzeniu Szanownego Pana. Co do okładki oraz spisu rzeczy zawartych w tym roczniku *Przodownicy*, to z końcem roku postaramy się go wydać. Słuszne Pana i innych Czytelników życzenie, aby taką okładkę wraz ze spisem do każdego rocznika załączać. Do biblioteki przeszlemy trochę jeszcze książek, ale dopiero w październiku. Kończymy tych słów kilka serdecznem „Bóg zapłać“ oraz polecamy pamięci *Przodownicę*.

Szanownym Czytelnikom: Zabawie i Stylińskiemu wysłałyśmy żądane elementarze. Czy doszły, prosimy o zawiadomienie. „Szczęść Boże“ zacnym zamiarom i podjętej pracy nad oświatą przesyła Panom Redakcya i Administracya *Przodownicy*.

Szanownemu Fr. Rzekuta przesyłamy przepis, jak wyrabiać piwo z owsa.

Szanownemu Fr. Kowalikowi przepis, jak wyrabiać wina dobre z owoców i jagód.

Szanownej A. M. i N. N. trzeci sposób pranianajwięcej używany.

Pranie bielizny. Bieliznę brudną podzielić na gatunki; jeżeli przy dużem praniu piorą się drobiazgi, należy od nich zacząć i na kilka godzin, a najlepiej na noc, zamoczyć je w balii, nalawszy letnią wodą, i nazajutrz najpierw je wyprać. Potem wziąć męskie i kobiece koszule, chustki, poszewki, bieliznę stołową, słowem całą cienką i niezbyt usmoloną bieliznę; za tem idzie coraz grubsza, a na końcu pończochy i szkarpetki. Ścierki wszelkiego gatunku lepiej prać innym razem, nie przy dużem praniu. Drobiazgi, wyprane z pierwszego brudu w wodzie ciepłej z mydłem, zostawią wodę brudną, którą wylać należy). Wziąć znów świeżej, dobrze ciepłej wody z mydłem, wyprać w niej jeszcze drobiazgi i wyżęte włożyć w kocioł, nalać ciepłą wodą, ukrajać trochę mydła, wsypać na ośmiogarncowy kocieł łyżeczkę bielidła (które obecnie sodę zastępuje) i tak od zawrzenia gotować kwadrans. W wodzie, pozostałej od drobiazgów na balii, zamoczyć i prać następną bieliznę; wodę brudną znów wylać i, albo raz jeszcze świeżą nalać, lub użyć tych mydlin, które od bielizny, wyjętej z kotła w wanienkę, a po przestygnieniu przepranej na balii, pozostały.

Tak trzeba do końca postępować, biorąc jedną wodę po parę razy do prania, przez to oszczędza się mydła. Bieliznę z kotła wyjętą należy zaraz inną zastąpić, dodając za każdym razem potrzebną ilość wody, mydła i bielidła.

Przy praniu potrzebny jest na kominie kocieł do gotowania bielizny i duży sagan do grzania wody.

Bieliznę wygotowaną i wypraną z mydlin roztrząsnąć, ułożyć w wanienkę, zaczynając od najgrubszych, nalać zimną wodą i tak do następnego dnia pozostawić. Nazajutrz wyprać z tej wody, zaczynając zawsze od najcieńszej bielizny, wypłukać w wodzie zimnej, dobranej farbką, i podzieliwszy na gatunki krochmalić.

Bieliznę nie do krochmalenia, jak: chustki, ręczniki, barchany, pończochy, zaraz na górę wynieść i powiesić. Pozostałą bieliznę krochmalić bardzo lekko, ale krochmalić trzeba, bo jest w użyciu wiele trwalsza i przyjemniejsza.

Pranie większe trwać musi najmniej półtora dnia, bo bielizna wiele jest ładniejsza, gdy przez całą noc w wodzie wymoknie.

Pranie w otrębach. Pszenne otręby zaparzyć wrzątkiem, rozcierać łopatką, aż masa zbieleje i tą masą nacierać tak jak mydłem przeznaczone do prania rzeczy, zamaczając je w małej ilości ciepłej wody. Potem je przepłókać raz w zimnej wodzie i nie wyciskając, roztrzepać i powiesić w cieniu, aby przeschły, lub też wycisnąwszy przez prześcieradło, zaraz na mokro wymaglować. Wełniane rzeczy najlepiej jest prać tym sposobem.

Szan. Bołosowi donosimy, że krakowskie Towarzystwo chowu królików nie istnieje już w Krakowie.

Od Redakcyi i Administracyi.

Przesyłamy Wam, drogie Czytelniczki i Czytelnicy w lipcu numer podwójny *Przodownicy* za miesiąc lipiec i sierpień. Następny wyjdzie w październiku — znowu za dwa miesiące, za wrzesień i październik. A to z tego powodu, że tak członkowie Redakcyi jak Administracyi *Przodownicy* dla wypoczynku i poratowania zdrowia muszą wyjechać na parę miesięcy na wieś. Wszelkie korespondencye prosimy Was, drogie i szanowne Czytelniczki i Czytelnicy, byście wysyłali pod adresem: **Redakcya lub Administracya** *Przodownicy* **w Krakowie ulica Szpitalna L. 7, II. piętro,** na które odpisywać Wam będziemy.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 7 i 8 „Przodownicy“ z r. 1903.

Choroba Ojca świętego.

Papież Leon XIII. starzec 93-letni cierpi od 2 tygodni na zapalenie płuc, połączone z wielkiem osłabieniem. Zachodzi więc obawa śmierci Jego. Wprawdzie bardzo skromne życie, jakie zawsze Ojciec św. prowadził, oraz znakomici lekarze, którzy go otaczają, dają pewną nadzieję wyzdrowienia, lecz nic pewnego powiedzieć o tem nie można i Bóg raczy wiedzieć, czy prędko już nie będziemy mieli innego nowego Papieża.

Straszna powódź w powiecie krakowskim.

Nowa w tym roku, a większa niż kiedykolwiek klęska nawiedziła zachodnią część Galicyi, najdotkliwiej dając się we znaki powiatowi krakowskiemu. Stoimy bezradni wobec ogromu nieszczęścia. Po całotygodniowej ulewie wezbrała Wisła i jej zachodnie dopływy tak okropnie, że niektóre okolice, przedmieścia i wsie, znalazły się nagle pod wodą, a sianożęcia i zboża na olbrzymiej przestrzeni padły niepowrotnie ofiarą rozszalałego żywiołu.

Dla kraju rolniczego klęska to niczem niepowetowana, znacząca ślady na cały szereg lat następnych, zwłaszcza gdy się zważy, że trzy z rzędu poprzednie lata należały do mokrych, każdy zrozumie, co znaczy dla rolnika, gdy przepada mu cały jeden sprzęt sianożęci i całe jedno żniwo. Zniszczony inwentarz żywy, podcięte wszystkie zabiegi uprawy roli, brak chleba dla domu i czeladzi.

To ruina.

Ruina dla obszarów dworskich, a nędza dla chłopa, żyjącego z paru morgów, a jeszcze częściej z paru zagonów, wraz z liczną rodziną. Ci, co wyjechali za zarobkiem, wrócą do zburzonych chat i pustych pól; ci, co zostali, nie mają gdzie głowy złożyć, brakuje im kawałka chleba na dziś, nie mają nadziei zdobycia go jutro, bo rola nie da im nawet pustej słomy.

Całe wsie i przysiołki skazane na głód. Widmo chorób unosi się już nad tą zgłodniałą rzeszą polskiego ludu i upatruje ofiary.

Zrujnowany także drobnomieszczanin i robotnik. Miał mało, bardzo mało: ot, „gratów“ kilka, warsztat, legowisko w wilgotnym, niskim domku, w suterenach, w niskim parterze. I ten dobytek zabrała mu woda. Potrzeba lat, aby z oszczędności zdobył się na sprzęt nowy. Gdy woda opadnie, wróci z żoną i dziećmi do przesyconej wilgocią nory. Choroba i głód czekają tam na nich.

Była ta katastrofa, zwłaszcza w powiecie krakowskim, tak gwałtowną i żywiołową, że niewiele pomogłyby środki zapobiegawcze. Zanim o tych środkach pomyślimy na przyszłość, stajemy wobec pytania: co dalej?

Ratować trzeba nędzarzy, wydzierać ich z objęć głodu, nędzy i choroby, bo to lud nasz, lud polski, wierny Ojczyźnie i przywiązany do ojczystego zagona. Miłość bliźniego, wrodzona ludzkiej naturze uświęcona najszczytniejszem przykazaniem boskiem, zrasta się tutaj z patryotyczną miłością ku ludowi polskiemu, i woła gromkim głosem: pomóż!

A pomóż zaraz, czemprędzej, w ciężkiej godzinie nędzy. Obdarzając dzieci swoje chlebem powszednim, pamiętaj o tych rodzicach, co dla swoich dzieci nie mają chleba kawałka. Zostaw i dla tych dzieci kromkę chleba, chociaż ich nie znasz, bo to dzieci tej samej ziemi, która ciebie żywi i którą tak kochasz. Jesteśmy wszyscy w tym nieszczęśliwym kraju biedni — ale są nas miliony. Niech każdy da niewiele, groszy parę, a zbierze się tyle, że zaspokoimy pierwsze potrzeby tych głodnych, co jutra przed sobą nie mają.

Redakcya *Przodownicy* przyjmować będzie wszelkie choćby najdrobniejsze datki dla powodzian.

Z soboty na niedzielę w nocy przybyły do wezbranej Wisły karpackie dopływy, między niemi Soła, która już w swojem dorzeczu szalone sprawiła spustoszenia. O godzinie 1 w nocy wzniosła się woda na Wiśle do 3 70 m. ponad 0 i od tej chwili przybierała z szaloną szybkością.

O godzinie 7 rano wody Rudawy, Wisły i Wilgi połączyły się i wtargnęły z jednej strony na Podgórze, z drugiej do Krakowa.

Od Krzemionek po prawym brzegu Wisły, aż daleko na północ i na zachód po Wolę, jedno olbrzymie jezioro żółtej, falującej wody.

Całe Dębniki pod wodą, która miejscami sięga po dachy niżej położonych, parterowych domów. Widać jakiś olbrzymi galar. Na galarze kilkanaście ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, widać poduszki i pierzyny Biedacy zabrali z sobą swoje ruchomości na galar, bo bezpieczniej im na nim, niż w dotychczasowym „domu mieszkalnym“.

Ku północy wszystko pod wodą. Długi szereg wierzchołków drzew znaczy drogę, prowadzącą z ulicy

Wolskiej do toru wyścigowego i gościńca. Z parku Jordana powiewa tylko chorągiew. Na południowy zachód od Dębnik widać dachy domów w Zakrzówku i w Ludwinowie, zewsząd oblane wodą, która nieprzerwanie faluje ku Podgórzowi i opiera się o Krzemionki.

Główny prąd unosi fale z szaloną szybkością. Fale wzdymają się, kotłują, uderzają z wściekłością o wszelkie zapory. Od czasu do czasu nadpływa belka lub krokiew ze zburzonego domostwa.

Do godziny 2-giej po południu przybywała woda. Szczęściem że niebo wypogodziło się i słońce rzuciło złote, gorące promienie na ten okropny obraz ludzkiej niedoli.

Kto widział grozę tego wypadku, płacz czteroletniej Helenki i przerażone oczy kowala, pojmie, co się dziać musiało po wsiach i chatach zalanych.

Domy do połowy już zalane, przez okna widać pływające podłogi, łóżka, stoły, garnki; piece porozwalane, a kobiety wśród krzyków i lamentów uciekają z dziećmi. Z za Wisły słychać rozpaczliwe wołania o pomoc.

Komunikacya do miasta bardzo utrudniona; końmi nie można się dostać, łodzi niema, tylko przewozi się ludzi galarem. — Wszystkie mieszkania dolne z obu stron na półwsiu Zwierzynieckiem zalane do połowy. Mieszkańcy na strychach czekają zmiłowania bożego, a tu ratunku brak. Żołnierze upadają ze znurzenia, bo ich mało, a n a d t o c z ę ś ć ł o d z i w o j s k o w y c h w y s ł a n o n a Ś l ą s k.

O godzinie 8·30 wieczorem rozwożą pierwsze łodzie chleb dla mieszkańców, ktorzy schronili się na strych, bo woda w ich mieszkaniach stoi na 1 metr. Zostali więc bez chleba wody i bez światła.

W D ę b n i k a c h woda pędzi silnym strumieniem. Mieszkańcy uciekają już na strychy i na dachy, dostęp do wielu domów, zwłaszcza nad Wisłą położonych, bardzo utrudniony, gdyż musi się jechać łodzią od strony ogrodów. Zatopieni błagają o pomoc, narzekając, że nikt o nich nie pamięta. Od soboty siedzieli niektórzy bez chleba na dachach domów. Koło mostu kolejowego i na torze kolejowym obozują kobiety z dziećmi, płacząc i narzekają, że są bez dachu i pożywienia dla dzieci, a nie wiedzą co się dzieje z mężami w domu. Bydło ryczy z głodu i przestrachu. Woda tymczasem uderza w tor kolejowy, zrywa płoty, drzewa, sady, burzy ściany domów i podłogi.

Jednym z najcięższej klęską powodzi dotkniętych powiatów jest p o d g ó r s k i. Od soboty rano biura starostwa podgórskiego oblężone były przez wójtów i naczelników gmin, przybywających ze strasznymi wieściami o zalewie.

Jak w Krakowie Rudawa dopomogła Wiśle do zalania miasta i okolicy, tak po tamtym brzegu to samo zrobiła W i l g a. Wody Wilgi zalały Ludwinów, Dębniki, i Zakrzówek. W nocy z soboty na niedzielę stanęły pod wodą niemal całkowicie wsie: Pozowice, Faciniech, Kopanka. Ochodza, Samborek, Koło tynieckie, Bodzów, Dębniki; Zakrzówek. Częściowo zalane zostały wsie Skotniki, Zelczyna i częściowo Skawina wskutek wylewu Skawinki.

Wskutek olbrzymiego obszaru zalewu, czynność ratunkowa była niezmiernie utrudnioną zupełnym brakiem łodzi. Kierował ratunkiem starosta podgórski hr. S t a r z e ń s k i, który nie czekając asygnaty namiestnictwa, kazał piec chleb za sumę 4000 koron i osobiście dowoził go do zalanych wsi przy pomocy urzędników starostwa i wojska.

Przy rozwożeniu chleba i ratowaniu ludności obozującej na strychach i dachach w Ludwinowie, Zakrzówku i Dębnikach, rozgrywały się sceny rozdzierające.

Jednę z największych katastrof spowodowało przerwanie się wielkiego wału ochronnego w Płaszowie, mierzącego 4 metry średnicy. Wody Wisły znalazły tu nowe ujście, zatopiły N i e p o ł o m i c e i okolicę.

Naoczni świadkowie opowiadają o przerażających scenach, jakie się rozgrywają w zatopionych wsiach. Ludzie obozujący na dachach i strychach, z dobytkiem, z drobnemi dziećmi, rozpaczliwie łamią ręce, wołając o ratunek i chleb. Nie obeszło się także bez ofiar w ludziach. W Zakrzówku u t o n ą ł d r a g o n, który wskutek nieostrożności zrobił sobie ze zwykłych drzwi tratwę i wiosłując na niej, uderzył o drzewo, wpadł do wody i uniesiony został wirem. Zwłok jego dotąd nie znaleziono. Pod wieczór z most podgórskiego widziano miotane falami z w ł o k i k o b i e t y, o których wyłowieniu z wiru około słupów kamiennych mostu i mowy być nie mogło. Z a t o n ę ł o t e ż n i e m a ł o b y d ł a i d o b y t k u d o m o w e g o. Woda wiślana niesie bez przerwy wszelakiego rodzaju drzewa, części domów, sprzęty gospodarskie, siano itp. przedmioty, świadczące o olbrzymiej sile prądu.

Słowem powódź tegoroczna rozmiary, jakich ludzie dzisiaj żyjący nie pamiętają. Może ona iść tylko w porównanie z olbrzymią powodzią z r. 1813.

W powiecie krakowskim zalane zostały następujące wsie: Dąbie, Grzegórzki, Branice, Wyciąże, Przylasek Rusiecki, Wolica, Zwierzyniec i Półwsie Zwierzynieckie, Bielany, Przegorzały, Piekary, Kąty ad Kryspinów, Ściejowice, Jezierzany, Kłokoczyn, Czernichów, Czernichówek, Wołowice, Zgrotowo, Sułkowo i domy niżej położone w Kamieniu. Oprócz zalanych pól straty z powodu uszkodzenia dróg i mostów gminnych są o g r o m n e; droga powiatowa wrocławska pod Zabierzowem przerwana wodami Rudawy. Również zalana droga od Zabierzowa ku Bolechowicom. Na drodze do Toń zerwała woda murowany wojskowy most. — Część gminy w Prądniku Czerwonym od gościńca rządowego ku barakom została zalana; powodzi uległy

tak grunta, jak domy, stodoły i chlewy. Duży most wojskowy na Olszy uszkodzony przez wody Białuchy.

Prezes Rady powiatowej dr. Fr. Paszkowski i sekretarz D. Stafiej zwiedzili wsie zalane w części lisieckiej, a osobno wysłano fury z chlebem w ilościach przeszło 400 bochenków do Piekar, Ściejowic i Jezierzan.

Wały nadwiślańskie z lewej strony rzeki po stronie powiatu krakowskiego silnie były bronione w dzień i w nocy przez włościan i wojsko, co bardzo przyczyniło się do utrzymania wałów. Wskutek przerwania wałów od strony Podgórza, parcie wody na stronę lewą się osłabiło, z powodu czego wylew na stronę powiatu krakowskiego nie był tak groźny.

Wysłała też Rada powiatowa krakowska chleb do Półwsia Zwierzynieckiego i Zwierzyńca kilkaset bochenków.

Powódź w innych powiatach kraju.

Oświęcim. Dzieło zniszczenia trwało u nas niedługo, gdyż znaną jest rzeczą, że Soła gwałtownie wzbiera, ale też i nagle opada. Biedni ludzie nie zdołali jednak na czas opuścić domów i siedzą na strychach, a żołnierze zajmują się rozwożeniem chleba od domu do domu i ratowaniem żywego inwentarza.

Gminy, położone w powiecie oświęcimskim, zajmują się uprawą ziemniaków, kapusty, zboża i owsa, najwięcej wartości ma jednak dla nich zbiór siana, które jest głównym przedmiotem wywozu do Prus, tudzież gospodarstwo rybne, prowadzone tutaj na wielką skalę. Niestety wszelkie w tym kierunku nadzieje odbiera im straszna katastrofa sobotnia. Gospodarstwo rybne również srodze ucierpiało.

Straty, wyrządzone przez tegoroczną powódź, obliczone dorywczo, wynoszą tutaj przeszło pół miliona koron, a w tej kolosalnej stracie udział bierze tylko 12 gmin ubogich, których mieszkańcy ponadto nie wiedzą, jaki los im jutrzejszy dzień zgotuje.

Uście Solne. Wisła przerwała wał w dwóch miejscach w Niedarach Nowych i w Popędzynie na polach dworskich. Klęska straszna. Wiele wsi i dworów zalanych. Woda wcisnęła się do mieszkań, stajen i stodół. Komunikacya przerwana, nie wszędzie da się łodziami dopłynąć. W nocy z soboty na niedzielę zalała także Wisła Drwiniarów i Dąbrówkę.

Najstarsi ludzie nie pamiętają takiej klęski powodziowej.

Pomimo energicznej i silnej obrony ze strony mieszczan, obznajomionych dokładnie z tak złośliwym żywiołem, jak powódź, czego dowody dali już nieraz, a szczególnie w r. 1884, wały wiślane zostały przerwane i cała okolica skutkiem tego zalana i zniszczona. Dopływająca tu pod Uściem do Wisły Raba szalała w niebywały sposób, jednak przy energicznej obronie wały zostały uratowane.

Ze wschodu płynąca do Wisły rzeczka Grobka (dotąd nieobwałowana) zalała pastwiska i niżej położone grunta. Położona w trójkącie, utworzonym przez wały Wisły i Raby wieś Niedary została skutkiem przerwania wałów Wisły całkiem zalana; widać tylko szczyty strzech.

Czchów. Dunajec na całej przestrzeni wylał, pola z cudownemi prawie plonami pod wodą. Fale Dunajca unoszą całymi stosami drzewo i bydło. Wyciągnięto też z wody utopionego nieznajomego mężczyznę, w innem miejscu krowę. Fale unosiły bydło rogate. Woda wzrosła z nadzwyczajną szybkością.

Wojnicz. Dunajec wystąpił z brzegów. Stan wody dosięgnął z soboty na niedzielę w nocy do 3·33 m. nad 0. Grunta okolicznych wiosek nadbrzeżnych zalane, tu i ówdzie kopice koniczyny zarysowują się, jak czarne punkciki ponad brudną wodą, która również w pobliżu położone domy zalała i do nich się wdarła. Rozhukane fale unoszą to powyrywane nadbrzeżne drzewa, to budulec.

Ustawiczne deszcze wstrzymały żniwa; gdyby były zboża już zżęte, woda by je pewnie uniosła. Szkody w urodzajach i zwierzostanie będą znaczne.

W sobotę 11 bm. wylały: Soła Skawa, Dunajec, Wisła.

W pow. bocheńskim zalane zostały miejscowości Dźwiniarów, Groklai Trawniki, Lępa, Uście Solne, Niedary; w pow. brzeskim; Kopacze, Zabełce. Wały wiślany znajdowały się w największem niebezpieczeństwie. Stan wody na Wiśle pod Kartami wynosił 4·80, woda dochodziła do korony wałów. Na Dunajcu pod Żabnem wynosił stan wody 5·70. Wał pod Biskupicami przerwany na przestrzeni 60 metrów. Przyległe miejscowości zalane. Nad Dunajcem zalane wsie: Mikołajowice, Sieciechowice, Ostrów, Bobrowniki. Na Białej pod Tarnowem wysokość wody wynosiła 4·92. Koło Woli Rogowskiej wał kolejowy w niebezpieczeństwie. W Szczucinie wały kazimierzowskie miejscami przerwane, te miejsca, które po zatorze tegorocznym w zimie naprawiano, trzymają się dobrze. Wezbrały także dopływy Dunajca i Raba, zalewając wiele miejscowości.

Bochnia. W sobotę woda Wisły dochodziła do korony wałów. Tego dnia zalane zostały pod Niepołomicami niżej położone miejscami: Pasternik, Kółko i Kępa Węgrzynowska. Przez dopływ Drwinki przerwaną została grobla i zalaną została miejcowość Niedary. Poczem przerwany został wał Wisły przy Niepołomicach pod Wolą Batorską, w Niedarach, Popędzynie i przy Uściu Solnem. W nocy szła woda ponad wały.

Prawie całą przestrzeń od Niepołomic do Uścia Solnego zalana. Żywność odchodzi z Bochni wozami.

Zator. Most na Skawie, wiodący do miasta, zniszczony. Przedmieście Blich pod wodą.

Powódź w Królestwie Polskiem.

Z licznych okolic Królestwa nadchodzą wieści o powodziach: pod Kielcami wylała rzeczka Silnica. Z Radomia donoszą, iż Ostrowiec zalany skutkiem wylewu Kamiennej. W Łodzi już w sobotę wiele ulic znalazło się pod wodą; pod Koluszkami woda podmyła przy wiadukcie nasyp kolei szerokotorowej; na kolejce podjazdowej do Pabianic na czwartej wiorście most zerwany. Komunikacya odbywa się z przesiadaniem.

Również w sobotę przerwaną została bezpośrednia komunikacya pomiędzy Granicą a Warszawą, skutkiem zerwania na przystanku Rozprza mostu na rzece tej samej nazwy. Wezbrane fale podmyły i rozwaliły filary i podmurowanie. Most tu dwu-przęsłowy o rozpiętości przeszło 10 sążni. Pociągi dochodzą na razie tylko do zniesionego mostu, gdzie odbywa się obustronne przesiadanie podróżnych do pociągów, oczekujących z przeciwnego brzegu i wracających po dokonanej wymianie do miejsc wysłania.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Przystąpił do chorego syna i, uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył. Czyniąc to szepnął:

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi. Może Boska siła przezwycięży czortouskuju siłu. Może ty, synku, wyzdrowiejesz i sam na tej nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzeć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał, a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniej mu zapłonęła, oczy nabrały blasku, zaczynał tracić przytomność; okropnie jęczał i klął.

Kobiety ze swej strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkiem, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; jedna nawet gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Piotr głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu zza zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— Kab jej nogi połamało! kab ona świata za płaczem nie widziała, wiedźma ta przeklęta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrzecijańska czartouskiej sile zaprzedana!

Piotrowa, zapaloną gromnicę w rękach syna ujrzawszy, po raz pierwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem, z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potem skręciła na tę wązką ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół, a opłotkami ogrodów, ku domostwu kowala wiodła.

Michał naprawiał w kuźni pługi, Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu, na uschłej trawie siedząc, w ostatniem cieple słonecznem rozgrzewała swe stare kości.

W izbie chaty, oprócz śpiącego w kołysce dziecka, nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporej sieni napełniały wysoko białawe głowy kapusty. Niedarmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu, a teraz pod ścianą chaty ustawiwszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu weń nakładła i, uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny ogałacała z ich suchej i twardej powłoki. W podniesionej nieco spódnicy i grubej koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonej bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jej i czoło, prędko, coraz prędzej uderzała deskę cierlicy, a sucha kostrzyca wzbijała się w powietrze, osypywała jej odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica ksztusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jej i policzki; jedna z jej rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty tej nie przerywała i była w niej tak

pogrążoną, że nie słyszała otwierania się wrót małego dziedzińca, ani spiesznych stąpań zbliżającej się ku niej kobiety, i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niej głos kobiecy, od płaczu i gniewu ochrypły, wymówił:

—Niech czort pomaga! Bodajby ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jej spotkały się z błyszczącemi oczyma Agaty. Wyprostowała się, ręce jej wzdłuż spódnicy opadły. Słowa Piotrowej przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niej z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do nich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słychać, pocieszyć, może dopomódz, ale wiedziała, że źle tam o niej gadają i że odwiedzin jej nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała Pietrusia.

— Oj ty niegodziwa! — wybuchnęła Agata, toż my ciebie jak co dobrego lubili i hołubili... Za co ty nam teraz syna otruła?... ha?

Piotrusia rękoma splasnęła.

— Ja wam syna otruła? ja!

— Co ty jemu zrobiła? Skaży, co zrobiła? jakie ziele tej dziewce dała, żeby go ona niem napoiła? Nie dawała może? ha? Skaży, że nie dawała? Zełżyj, co tobie szkodzi, ty już i tak zgubiona, czortu zaprzedana, Boga obrazić nie boisz się! Skaży, że nie dawała?

Do zarumienionej od pracy twarzy Pietrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła: — Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowej chacie jej przypisywano chorobę Klemensa i nagły strach zatrząsł jej sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jej oczu, do Agaty zwróciła się i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa— nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojej widzę, że dała i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz, co zrobiła? czujesz? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło? Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz... Odrób, co zrobiłaś! czujesz? odrób...

Pietrusia targnęła i, załamując ręce, jęknęła:

— Co ja zrobię?... odczepcie wy się ode mnie...

Wtedy Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i, osunąwszy się przed nią na ziemię, kolana jej objęła.

— Pietrusia! mileńka, Zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyś sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie za to wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna, i hroszy, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... On prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... znasz możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ściskała kolana jej, brzeg jej spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyny za serce chwycił. Sama przecież matką była. Podniosła ręce do głowy i zawiodła:

— Oj, Bożeż mój, Boże, co ja pocznę! nie robiła ja i odrobić nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała:

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

— Odczepcie się, ciotko... — krzyknęła — czego wy ode mnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiej prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała.

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i czort, twój przyjaciel, nie wyratuje ciebie, kiedy na twoję głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie...

W tem przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jej może tam już i nieżywy leży, obu rękoma schwyciła się za głowę, z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła. Pietrusia zaś tam, gdzie stała, osunęła się na ziemię i, twarz rękoma zakrywszy, rozpłakała się głośno i rzewnie. Płakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszeć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła.

Potem Pietrusia z podwórza do sieni wniosła cierlicę, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż, westchnąwszy głośno, usia-

dła na ziemi i, plecy o len opierając, zadumanym wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się ochrypły i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepej baby.

— Pietrusia! — zawołała.

— A co, babulo?

— Spal zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła i te, co z przeszłego lata zostały i wszystkie, co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spal! — krzyknęła prawie stara i ciszej, lecz gniewnie zamruczała jeszcze: — Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakołysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu znosiła mnóstwo uschłych i kruchych, lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała, a potem ogień podniecіwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła. Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierzchołkowi pieca i zapytała znowu:

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takiem zamyśleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero u wierzchołka pieca, głos chrapliwy i trochę drżący zagadał:

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja, co z czego wynikać może...

Po chwili stara zagadnęła znowu.

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

— Nie będę — odparła młoda kobieta.

— Nikomu, pamiętaj. Żeby tam, nie wiem, jak ciebie prosili. Czujesz?

— Nie będę, babulo...

— Cicheńka taka bądź, jak ta ryba na dnie wody, żeby ludzie zapomnieli o tobie.

— Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzała, zaraz krzyknęła:

— Oj, Bożeż mój! a tobie co takiego przytrapiło się, Michałku!

— Przytrapiło się mnie to — rzekł — czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Sołdatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim: tutaj już siedm lat żyję i pracuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś, pobiłem się przed karczmą z chłopami. Z twojej przyczyny, Pietrusia, hawantura ta mnie spotkała. Pfe, wstyd tylko, zgryzota, taj hodzi!

Po chwili ozwał się znowu:

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o jenteresie, aż słyszę, przed karczmą chłopi na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zadała. Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób Szyszko, złodziej ten wiadomy, i Stepan potem przyszedł i takoż gadać zaczną i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły takoż i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, kłócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje, jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu niewiadomo skąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wiedźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kułaków! Oj, Bożeż mój, Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Ona wciąż milczała. Ze spuszczonemi powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugiem bacznie się na nią popatrzał.

— Pietrusia! — rzekł — co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? — szepnęła.

— Już nie może być bez przyczyny? ha? — zapytał jeszcze.

— Czy ja wiem? — powtórzyła.

— Czy ja wiem? — powtórzyła i od męża twarz odwróciła. On patrzał na nią, patrzał i dziwiąc się, jakby czemuś, lub nad czemś smutnie rozmyślając, parę razy głową zakołysał. Potem dzieci ku sobie zawołał, a do niej już nic nie mówił i ani razu tego wieczoru Zuzulą jej nie nazwał. Markotny i milczący spać się położył, ciemność i cisza zaległy izbę, aż w połowie nocy, w ciemności

i ciszy rozległ się odgłos ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca:

— Babulo! babulo! czy ty śpisz?

Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźnem przerażeniem przejęty.

— Nie splu, ditia, nie splu! Wsieńko o tobie myślę — odpowiedziała Aksena.

— Babulo! — zajęczał głos drugi, cościś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cościś położyło się i tak dusiło, że tylko co już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— Szto heto? — zadziwiła się stara, a po chwili zapytała:

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo, nic w świętą niedzielę, nigdy nie robiła..

— Przypomnij sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko zrobił. Aż tu razu jednego niedziela do niego przyszła, taka wielka, jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. Przypomnij tylko sobie, czy czego, broń Boże, w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam, babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

— No, to sztoż heto, co ciebie dziś dusiło?

Długie potem zapanowało milczenie, aż w ciemności, szept młody i przerażony cichutko zaszemrał:

— Babulo! ja słyszała, że kiedy czort do kogo przyczepi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca, gwałtownie coś zaszeleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, ditia, przeżegnaj się krzyżem świętym...

— W Imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego. Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potem stara Aksena zaszepleniła jeszcze:

— Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, zhryzota i żałość.

— Al-e! — twierdząco odszepnął głos drugi.

— Cościś Michałek markotny był dzisiaj i hniewny...

VI.

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach listopada mróz ściął już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym puchem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą, wiodącą z najbliższego miasteczka do Suchej Doliny, szli ku wiosce dwaj chłopi. Nie byli zupełnie trzeźwi, a wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

Nagle stanęli obaj i twarzą w twarz patrzeć na siebie zaczęli.

— Jakób! — rzekł jeden.

— Szymon! – odpowiedział drugi.

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— Ale!

— Toby długów nie robił!

— Ale!

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... taj jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A świerotek to już ze wszystkiem zawalił się... myślę ja sobie, skąd tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie żydu w arendę za dług puścić... choć potajemno, a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... Oj, horkaja dola przyszła mnie i ditkom moim...

— Oj, horkaja dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i, głośno westchnąwszy, dalej obok siebie iść zaczęli. Naprzeciw nich żółto błyszczały dwa oświetlone okna karczmy, dalej samotne w polu szarzało domostwo kowala.

Jeden z chłopów, przechodzących pod krzyżem, w kierunku do tego domostwa rękę wyciągnął.

— Szymon! — rzekł.

— Nu?

— Ot tam to hroszy dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! — potwierdzi Szymon, musić bohaty ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, koli czort wiedźmie pomaga...

— Pomaga, czy nie pomaga, a taki im

dobrze, kiedy grosze mają — zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał:

— To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżej...

— Jeszcze i cięższej na cudze dobro patrzeć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— Ale!

Zaczynali już kłócić się, ale w tem oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj, jak w ziemię wryci.

— Zajdziem — rzekł Szymon

— Zajdziem — zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę poweselić się...

Karczemną izbę, dość obszerną, nizką, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu pułapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca.

Na długim i wąskim stole paliła się łojówka i stało kilka cynowych czarek, jakiemi zazwyczaj chłopi w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy, z obu stron stołu na ławach siedząc, toczyli między sobą gwarliwą, ale poważną, stateczną rozmowę. Przyszli tu oni nie dla hulania ani hultajstwa, ale dlatego, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w kompanii, a potem i dlatego, aby o rzeczach, tyczących się interesów wsi, trochę naradzić się i porozmawiać.

W samym środku grona tego zasiadł Piotr Dziurdzia, obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętymi, rozpierał się Maksym Budrak, dalej obsiadywali ławę: stary Łabuda i dwaj dojrzali, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilku jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniej dochodziło światła, siedział Stepan.

Rozprawiano wszakże o rzeczy, na której on znał się lepiej, niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensyą rościła i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi.

Było tam także kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiej i gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy.

W gromadce tej nielicznej, ale bawiącej się wybornie, rej głośny i wesoły wiódł Klemens.

Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiej choroby, której już i znaku na nim nie było.

Teraz Klemens w zabawie i swawoli rej wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią, przepraszał ją i do drugiej gonitwy wyzywał.

Piotr na tę zabawę syna z przyjemnością spoglądał. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z zamożnej ojcowskiej chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a oprócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną, jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewniona będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego, ni z owego, wykryły się jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszkańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się z choroby, Piotr go zapytał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakiemi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz?— indygacyą swą dalej prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie baćku? — zawołał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.